

Serja trzecia.

41. KRASZEWSKI J. I. Świat i ziemia. (Drukiem większym.)
42. KRASZEWSKI J. I. O pracy. (Drukiem większym.)
43-50. PAMIĄTKI JANA SEWERYNA SOPLICY, Cześnika parnawskiego. (Drukiem większym.)
51-52. FREDRO MAKS. Przysłowia narodowe. (Drukiem większym.)
53. GARCZYŃSKI STEFAN. Dzieje Wacława.
54. GÓRECKI ANTONI. Pieśni i Bajki.
55. KILIŃSKI JAŃ. Pamiętniki.

Żądania wszelkie powinny być adressowane: *A la librairie du Luxembourg. Paris, rue de Tournon, 16.*

Paryż, druk. braci Rouge, ul. du Four-St-Germain, 43.





NOC BELWEDERSKA

WYKONANIE PLANU POWSTANIA

W tej części mego opowiadania, przedstawiam szczegółowiej ruch powstania o ile sam byłem jego uczestnikiem, co do reszty ograniczam się na zarysach ogólnych, trzymając się wiadomości podanych przez Maurycego Mochnackiego w jego historii, które są bardzo szczegółowe i zasługujące na zupełną wiarę, do niego też odsyłając czytelnika pragnącego mieć dokładne wyobrażenie dziejów tej nocy.

Od kilkunastu już dni wiedzieliśmy że lada dzień będziemy wezwani do działania i że ten dzień bardzo bliski. Mieliśmy, każdy z nas, wiadomą sobie czynność do spełnienia. Dzisiaj 28go Listopada, miało już zapaść stanowcze postanowienie, i o tém zawiadomić nas miano. W tym celu, wieczorem, zebraliśmy się, kilku

nas cywilnych, w jednej cukierni na Krakowskiem Przedmieściu. Był Nabelak, Żukowski, ja; innych nie przypominam sobie w tej chwili. Wkrótce przybył Bronikowski Ksawery, i oznajmił nam, że powstanjemy jutro wieczorem o godzinie szóstej, — że zatem o tej godzinie każdy na wiadomym sobie stanowisku znajdować się powinien. Było przytém porozumienie się w rzeczach podrzędnych. Szło teraz o zawiadomienie innych, tych zwłaszcza którzy się podjęli działania w Belwederze i poruszenia ludu. Co do mnie wziąłem na siebie zawiadomić między innymi: Mochnackiego, który od pewnego czasu nie stykał się ze związkowymi, a ze mną był w ciągłym bardzo bliskim stosunku; Józefa Kozłowskiego, mecenasa, mającego wielką wziętość szczególnie w dzielnicy Starego miasta — i jeszcze kilku innych. Nie było potrzeby dopełnić tego dzisiaj; do Kozłowskiego tylko wpadłem, a chociaż pora nie była zbyt spóźniona, znalazłem go już w łóżku, ale jak tylko mu oznajmiłem o co idzie, zerwał się natychmiast, ubrał się i wybiegł porozumieć się ze znanymi sobie mieszczanami. Zostawiając resztę do jutra, wróciłem do Nabelaka, u którego miałem tę noc przepędzić, bo w mojem mieszkaniu mogłem być aresztowany, do czego było wielkie podobieństwo, szczególnie po uwięzieniu Józefa Mejniera, który był jednym z najbliższych mnie ogniw w tym łańcuchu sprzysiężenia, a byłoby mi boleśnie przebyć w więzieniu i bezczynności chwilę

do której unosiłem się od lat wielu. Wieczory listopadowe długie, nie mieliśmy dziś co robić w naszym mieszkaniu, byłem przytém cokolwiek głodny, poszliśmy więc z Nabelakiem na piwo, już to dla posilenia się, a jeszcze więcej dla badania usposobień publiczności. W powrocie naszym do domu, drobny wypadek na pozór zrobił na mnie wrażenie które podniosło jeszcze wyżej dobrą moją otuchę o dniu jutrzejszym — traciłem nogą jakiś kawałek sukna leżący na bruku, podniosłem go, był to pasek jaki mają na swojej kurtce ulani moskiewscy. «Dobry znak!» odezwałem się do Nabelaka pokazując mu znaleziony pasek. «Mamy już łupy z nieprzyjaciela.» I wróżba nie zawiodła. Nabelak mieszkał w izbie która była także biórem redakcyjnym Dziennika powszechnego. Łóżko było jedno i na jedną osobę, ale za to stół ogromny i stosy dzienników. Zaslaliśmy stół dziennikami, — musiałem znaleźć tę pościel bardzo wygodną, bo przespałem jak zabity noc z 28go na 29ty — i zbudziłem się z całą czerstwością i swobodą umysłu, chociaż stanęła mi natychmiast przed myślą nadzwyczajna ważność tego dnia — dla mnie i dla Polski całej. A teraz do roboty, może ostatniej w tém życiu! powiedziałem sobie. Ale przedewszystkiem musiałem jeszcze wpaść do mojego mieszkania i załatwić sprawę niższego rzędu. Potrzeba było odnieść do drukarni rękopism czwartego tomu romansu Walter-Skota: Klasztor. Tom ten przełożył Ksa-

wery Bronikowski, ale wszystko co było wierszem w tym romansie, to mnie było powierzone do przełożenia na wiersz polski, i w tym tomie miałem jeszcze kilkanaście wierszy do zrobienia. W parę godzin ułatwiłem się z tą pracą, zaniósłem rękopism do drukarni, zabiegłem do p. Franciszka Grzymały, dla uiszczenia się z małego dłuzku pieniężnego, i pospieszyłem do Mochnackiego. Zastąłem go nad pracą. — Drukował właśnie swoje dziełko o Literaturze polskiej, a w tej chwili pisał rozdział o muzyce polskiej, który miał zamknąć dzieło, ale kiedy mu zapowiedziałem że « dziś w wieczór zaczynamy nieodmiennie » — przyjął tę wieść z oznaką radości, przekreślił natychmiast wielkimi pociągami pióra na krzyż kilka stronnic już zapisanych « zostawmy to na później » zawołał — « a teraz natychmiast biegnę do szaserów. » Mówił tu o strzelcach konnych gwardji z których kilku oficerami był w stosunku i liczył na ich współdziałanie w powstaniu. Od niego udałem się na Miodową ulicę, gdzie w domu Zawadzkiego mieszkało kilku oficerów artylerji pieszej, a zawiadomienie których było mi polecane. Jeden z nich Antoni Chrzaszczewski, był mi dobrze znajomy, jako Ukrainiec i kolega ze szkół Humańskich. Od kilku tygodni był dymisjonowany i miał wracać na Ukrainę, ale wtajemniczony przezemnie w sprawę rychłego powstania, pozostał w Warszawie aby mieć w tym czynie swój udział. Mieszkał z kilku swoimi kolegami z artylerji, Gabrjelem Ko-

walskim i Chajęckim. Zastąłem wszystkich. Byli oni już oddawna w związku, w tej chwili szło tylko o to, aby wiedzieli chwilę powstania i byli gotowymi na swoich stanowiskach. Z zapalem przyjęli wieść tak dawno upragnioną; posłali natychmiast do szkoły artylerji i w kilkanaście minut przybiegł z niej Onufry Korzeniowski, którego wtedy także po raz pierwszy poznałem. Po krótkiej naradzie rozeszliśmy się każdy w swoją stronę, do spełnienia swojej czynności, Chajęcki do szkoły bombardjerów, Korzeniowski do szkoły artylerji, inni dla zawiadomienia i przygotowania swoich kolegów. Spelniwszy kilka jeszcze podobnych zleceń, że już zbliżał się wieczór, zeszliśmy się z Nabielakiem, aby razem zjeść obiad i razem udać się na nasze stanowisko w Łazienkach. Spółstołownikiem naszym był Jędrzej Moraczewski, późniejszy historyk, a wówczas pracujący jak Nabielak w redakcji Dziennika powszechnego; człowiek zacny jak i później, szanowany od nas, ale niewtajemniczony. Widzieliśmy w nim wychowanka uniwersytetów niemieckich, zdolniejszego rozprawiać uczenie jak robić broń na placu boju. Szczęściem omyliliśmy się, bo w kampanii późniejszej był jednym z dzielnych strzelców Grothusa; sam go widziałem takim, kiedy z wielką moją radością spotkaliśmy się w kilka miesięcy nad Wisłą naprzeciw samych Puław, gdzie oddział jego obserwował Moskali snujących się po drugiej stronie Wisły. I wtedy jedliśmy obiad, ale obiad żoł-

nierski, gdzie już nie było uczonej dysputy.

Pozór Warszawy zwyczajny — nic nie objawiało ruchu zdradzającego jakąś ważną czynność. Policja snuła się, badała, odgadywała, ale tropu schwycić nie mogła. Ja sam w moich kursach skrzyżowałem się kilka razy z Komisarzem Szymanowskim, z Jenerałem Rożnieckim. Mimo ich oka sprzysiężeni wojskowi przygotowywali materiały wybuchu. Przed godziną drugą po południu wszyscy już związkowi, mający na sobie ważniejsze czynności, zawiadomieni byli o chwili i przedsiębrali stosowne środki. Przedewszystkiem potrzeba było ładunków. Zaradzono temu następującym sposobem. Dąbrowski Florjan oficer z 7^{go} pułku linjowego i Przyborowski Józef z 1^{go} strzelców pieszych, wzięwszy dwa furgony i dwóch żołnierzy, przybyli do obozu, gdzie w baraku Jenerała Blumera złożone były ładunki, uwięzili podoficera od weteranów który miał straż nad składem, zmieniwszy wprzód wartę niby z rozkazu gubernatora, przebyli napowrót rogatki odpowiadając zapytani co wiozą, że « nowe mundury dla wojska » i tym wybiegiem pomyślnym dostarczyli kilkadziesiąt tysięcy ostrych nabo-
jów, które oficerowie rozebrali i w kieszeniach roznosili po koszarach i rozdawali swoim żołnierzom. W tej dopiero chwili oficerowie osądzili za rzecz przyzwoitą powiedzieć żołnierzom do czego to zmierza, a żołnierz przyjął to z taką ochotą, z taką szczerą chęcią wypędzenia Moskala z Polski, że nieżałowano

iż go nie wciągnięto wcześniej do spisku.

Z nadchodzącym zmrokiem ruch poczynął być powszechniejszy i wyraźniejszy. Za ogrodem Krasińskich, na małym placu przy rajt-szuli, pod bokiem prawie Jenerała Lewickiego, Komendanta miasta, widziano gromadzących się żołnierzy. Byli to grenadjery 5^{go} linjowego, wyprowadzani z kwater na Ulicach Wroniej, Łuckiej i Lesznie, przez podporuczników Lipowskiego i Czarneckiego. Na innych punktach pokazywały się równie gromadki żołnierzy, przesuwaly się oddziały, znaczniejsze nawet, ale nie zwracały szczególnej uwagi, a jeżeli zwróciły, dowodzący nimi oficerowie zapytani odpowiadali: « że pułki występują na patrol jeneralny z rozkazu Komendanta miasta. » W ogóle, szkoła artylerji, bataljon saperów, kompanje wyborcze, warty na wszystkich punktach były w pogotowiu i oczekiwały tylko na znak umówiony.

W tejsze gotowości znaleźli się cywilni, mający poruszyć lud na Starém Mieście. Ksawery Bronikowski, Józef Kozłowski, Maurycy Mochacki, Ludwik Żukowski, Włodzimierz Kormański, Anastazy Dunin i Michał Dębiński, zgromadzeni w tym celu w jednej kawiarni, wyglądali tylko błysku hasła, dla tej części miasta pożaru na Naléwkach.

Dobrze się już ściemniło, kiedyśmy się puścili nareszcie ku Łazienkom. Droga jaką mieliśmy przed sobą nie była tak długa, abyśmy nie mogli stanąć o szóstej na naszym stanowisku, przy-

tém powietrze cokolwiek zamglone, niebo przysłonięte całkiem jakby zasłoną, chłód przenikający, to też po drodze wystąpiliśmy jeszcze do cukierni blisko Kościoła Śgo Krzyża dla ogrzania się szklanką ponczu. Zastaliśmy tam Romana Sołtyka, który wtajemniczony w naszą robotę, wpatrywał się w nas z wielkiem zajęciem. Po chwili ogrzania się, ruszyliśmy w dalszą drogę, po pod Kościołem Śgo Aleksandra, a później wielką aleją. Spuszczając się już ku Łazienkom, zetknęliśmy się z pułkownikiem Ołędzkim, któremu od kilku tygodni poruczono dozór nad szkołą podchorążych, polegając na jego wierności rządowi rosyjskiemu. Pomimo ciemności poznałem go, a że i ja byłem jemu cokolwiek znany, osłoniłem twarz lepiej wysokim kołnierzem mojego płaszcza, nasunąłem daszek mojej czapki na oczy i tak przeszliśmy koło siebie. On jednak wrócił tą samą drogą do szkoły podchorążych, powiadając im, że jacyś cywilni włóczą się wokolicy szkoły o porze niedozwolonej cywilnym, i dając rozkaz aby natychmiast wysłano jednego z podchorążych, który się miał dowiedzieć kto są ci co śmieją być o tej porze w tych miejscach. Po tym rozkazie wrócił do miasta robiwszy mimowoli nam i podchorążym przysługę, zawiadamiając ich że jesteśmy już na naszym stanowisku.

Dochodziliśmy do posągu Sobieskiego, który według planu miał być punktem zbornym dla oddziału belwederskiego, kiedy błysnęła luna

pożaru na Solcu — hasło powstania na wszystkich punktach, a témczasem nie było jak pół do szóstej — a nas wszystkich przy posągu ledwo kilkunastu. W tej chwili uderzono alarm w koszarach — odezwały się dzwonki odwachów — posyłki żołnierskie zaczęły się przemykać po lasku. W tym niepojętym dla nas rozruchu nie pozostawało nam jak rozproszyć się i przeczekać aż się rzecz wyjaśni. Każdy więc znalazł sobie swoje drzewo i ukrył się za niem. Wiele zapewne byliśmy winni ocalenie nasze ciemności nocy, tém większej między drzewami, ale najwięcej jakiejś wyższej opieki nad nami; koło mnie samego przebiegli kilka razy żołnierze, o kroków kilka. A trwało to przez pół godziny z górą.

To hasło zawczesne i chybione miało wielki wpływ na cały ruch powstania i zasługuje na kilka słów wyjaśniających. Materiału palnego do podpalenia browaru na Solcu, miał dostarczyć Wysockiemu kapitan Stolzmann, jeden z zarządzających pracownią ogniową, pod warunkiem aby uprzedzony był o tem na dni kilka; Wysocki zażądał ich dopiero w wilję powstania to jest w niedzielę, kiedy pracownia była zamknięta, Stolzmann więc nie mógł ich wydać ani w niedzielę, ani nawet w poniedziałek, bo jak zapowiedział potrzebował na to dni kilku. Dwóch podchorążych przeznaczonych do podpalania browaru, musieli przestać na słomie. Operacja ta szła nasamprzód z wielką trudnością, a kiedy się wreszcie udała, pożar

był tak słaby że go w krótkim czasie z łatwością stłumiono. Dla czego był przedwczesny? niewiadomo — czy wina zegaru którego się radzili podchorążowie? czy wina ich niecierpliwości? Bądź co bądź, wypadek ten zawichrzył powstanie w samym jego zarodku i materialnie i moralnie jak to później zobaczymy.

Po upływie dobrej półgodziny, pożar zgaszony, Łazienki uspokojone, mogliśmy wyjść nareszcie z po za drzew naszych, skupić się obliczyć i coś postanowić. Nie było innej rady jak porozumieć się ze Szkołą Podchorążych. W tym celu udał się do niej Nabelak. Ale i Szkoła zaniepokojona, Wysockiego nie widać, z Podchorążymi podpalającymi browar nie wiadomo co się stało. Z tem tylko wrócił między nas Nabelak. Trzeba było jeszcze czekać a czekać wśród niebezpieczeństw widocznych. Lada co mogło wydać naszą obecność w miejscu tak zabronionem, w porze tak już spóźnionej; usprawiedliwienie się trudne, tem trudniejsze że wielu z tej młodzieży uzbroiło się w pistolety i sztylety, bez potrzeby, bo do czynu mieliśmy przygotowane dla siebie karabiny przez wojskowych.

W tem położeniu upłynęła nam jeszcze cała godzina. Nabelak znowu pobiegł do Szkoły Podchorążych i znowu miał wracać z niczem, kiedy wracając spotkał Wysockiego spieszącego z miasta ze Szleglem, Dobrowolskim, Paszkiewiczem i Rotermondem. Od tej chwili zmienia się postać rzeczy; dzieło rozpoczyna

się na prawdę. Wysocki ze Szleglem i Dobrowolskim spieszą do Szkoły Podchorążych. Paszkiewicz i Rotermond zostają przy oddziale Belwederskim.

W kilka minut przybył Nabelak w towarzystwie Podchorążych Trzaskowskiego i Kobyłańskiego, przeznaczonych do prowadzenia naszego oddziału; otrzymaliśmy także karabiny z bagnietami i po 20 ładunków. Obliczyliśmy się — było nas ośmnastu. Liczba cokolwiek za szczupła w stosunku do wyprawy takiej ważności. Widziałem z tego powodu zmieszanie na niektórych twarzach, mnie samego przebiegło chwilowe zwątpienie, ale to nie trwało jak chwilę. Wszyscy poczuli obowiązek rzucić się w działanie, bez żadnego względu na liczbę i dalsze skutki. Nabiliśmy karabiny i ruszyliśmy w pochód dwoma oddziałami złożonemi każdy z dziewięciu ludzi. Jeden miał wpaść główną bramą do Belwederu, w tym oddziale był: Ludwik Nabelak, Zenon Niemojowski, Roch i Nikodem Rupniewscy, Ludwik Orpiszewski, Ludwik Jankowski, Walenty Nasiorowski, Ja i Podchorąży Konstanty Trzaskowski przewodnik oddziału.

W drugim oddziale byli: Paszkiewicz Karol, Rotermond Edward, Poniński Stanisław, Trzeciński Edward, Świętosławski Aleksander, Krosnowski Walenty, Rettel Leonard, Kosiński i Podchorąży Kobyłański, przewodnik. Oddział ten wszedł do ogrodu belwederskiego, aby działać z tyłu pałacu, gdyby tą stroną Wielki

Książę chciał się wymknąć.

Droga nasza szła między Belwederem a ogrodem botanicznym. Żadnej przeszkody na niej, tylko co kilkadziesiąt kroków wzdłuż sztachet otaczających dziedziniec Belwederski, budka szyldwacga i przy niej weteran moskiewski. Widok tych weteranów natchnął jednego z nas zapytać weterana po moskiewsku, czy W. Książę jest w domu? « Jest » odpowiedział weteran. — Na to zapytujący: « będzie miał gości. » — Weteran schował się w budkę. Wkrótce musieliśmy przyspieszyć kroku; usłyszeliśmy strzał i krzyk człowieka z ogrodu. W drugim oddziale strzelono do kirysjera będącego tam na warcie przy pałacu i raniono go. Puściliśmy się biegiem na odgłos jakby grzmotu, który nas doszedł ze strony koszar. Było to pierwsze powitanie Podchorążych dla jazdy moskiewskiej. Jednocześnie prawie z tym strzałem wpadliśmy przez bramę na dziedziniec Belwederu. « Śmierć tyranom » wykrzyknął mój oddział, a wyraz oczu i twarzy moich towarzyszy odbijał dobitnie co ich okrzyk zapowiadał. Widziałem to tem lepiej, że miałem cały spokój wewnętrzny i nie wmieszałem uniesienia mego do tego chóru. Kilku ludzi ze służby W. Księcia stało na podwórzu przed pałacem, kiedyśmy wpadli w bramę. Na okrzyk nasz rzucili się natychmiast do głównych drzwi wchodowych i chcieli je zamknąć, ale nie mieli na to dosyć czasu; razem prawie z nimi byliśmy u drzwi przez pół zamkniętych,

które się wnet całkiem otwarły pod naszym naparciem i zostawiły nam swobodne wejście, ale jak do pustki. W tej chwili i drugi oddział połączył się z naszym. Przebiegliśmy pędem, z łoskotem którego łatwo można się domyślić, dół i pierwsze piętro, i nigdzie W. Księcia, zniknął nam — pustka zupełna — tylko w przedpokoju sali audjencjonalnej jakiś człowiek kryjący się za drzwiami. — Był to Wice-Prezydent miasta: Lubowidzki. Rzucono się ku niemu; dotknęło go kilka bagnatów, upadł na posadzkę złany krwią kilku ran, ale żadna nie była śmiertelną.

Zwiedziwszy w ten sposób cały pałac i nie znalazłszy czegośmy szukali, nie spełniwszy cośmy zamierzeli, mieliśmy się do odwrotu nie bardzo radzi z siebie, kiedy ujrzelismy na dziedzińcu gromadkę ludzi, która gotowała się niby przeciąć nam odwrot. Była to służba W. Księcia, którą zebrał i dowodził jenerał Żandr. Byli między nimi uzbrojeni szpadami, ale największa część miała łopaty, widły i inne narzędzia. Starcie się z nimi trwało krótko. Jeden z pierwszych upadł sam Żandr skluty śmiertelnie. Dziś jeszcze budzi się we mnie żal nad tym człowiekiem, ten sam jaki się zbudził na widok, kiedy leżący na ziemi i przybity niejako do niej bagnetem, schwycił oboma rękami lufę karabinu i błagającym głosem zawołał: « ja niewinowat. » — Mój spokój dozwolił mi to widzieć, równie jak ocalić może życie jednemu z naszego oddziału. Zacietrzewiony nacie-

raniem nie uważał jak jeden z lokai, zabiegłszy mu z tyłu mierzył w głowę łopata, na szczęście spotrzegłem to i tak w samą porę pchnąłem go bagnetem, że łopata ześliznęła się tylko bokiem twarzy, ale jej ślad na długo pozostał, bo nadwreżyła cokolwiek kość policzka. Na widok śmiertelnie ranionego jenerała i kilku innych, reszta uciekła do stajen, i tam się zamykała, w największym przestachu, o ile mogłem sądzić ze wrzawy wewnątrz stajen. Nie było też naszym zadaniem walczenie z nimi. Szło nam teraz głównie o połączenie się ze szkołą Podchorążych. Opuszczając Belweder kierowaliśmy się szczęśliwem jakimś przeczuciem. Najkrótsza nasza droga była ta którą przyszliśmy; my jednak wzięliśmy się w kierunku zupełnie przeciwnym. — Na przeciw Belwederu, po drugiej stronie alei, był jakiś ogród dosyć obszerny i zarosły drzewami; wzięliśmy się więc cokolwiek na lewo ku rogatkom, potem rzuciwszy aleję, poszliśmy wzdłuż ogrodzenia, zamierzając oszczędzić tym sposobem ogród, dostać się do ogrodu botanicznego. Właśnie byliśmy już zasłonięni ogrodem od alei, kiedyśmy usłyszeli na niej tentent jazdy. Był to oddział kirysjerów który pędził na obronę Belwederu. Wpadł on tam w kilka minut po naszym odejściu. Łatwo odgadnąć co by się stało z nami gdyby nas byli zastali w miejscu, albo żebyśmy byli wracali drogą najprostszą: kilkunastu ludzi z karabinami tylko przeciwko szwadronowi kirysjerów!

Uniknęliśmy wielkiego niebezpieczeństwa, ale nie całkiem, potrzeba jak najrychlej dostać się do ogrodu botanicznego: przyspieszamy biegu, docieramy do alei, jesteśmy już przy ogrodzie, a za chwilę z drugiej strony płotów ogrodowych. Tu odetchnęliśmy cokolwiek, czego niektórzy między nami bardzo potrzebowali — tego spierały kolki z gwałtownego biegu, ten skaleczył sobie rękę przeskakując do ogrodu i osłabiony już dalej iść nie mógł, jakoż w rzeczy samej został, i chowany pod słomą przez poczciwego ogrodniczka, trzeciego dnia dopiero wrócił do miasta — i tym podobnie. Zaledwo puściliśmy się w głąb ogrodu, kiedy po za nami, alea którą tylko cośmy opuścili, zagrzmięła znowu pod kopytami jazdy: byli to ci sami kirysjerowie którzy przed chwilą wpadli do Belwederu, a teraz galopowali — nie wiedzieliśmy gdzie? ku miastu czy ku koszarom. Wymknęliśmy się im powtórnie. Szybko, jak się można tego domyślać, przebyliśmy ogród botaniczny, drogę idącą od Wiejskiej Kawy do mostu Łazienkowskiego, po chwili byliśmy przy moście — rzucamy okiem za sobą, a oto droga którąśmy dopiero porzucili, zapełniona jest kirysjerami równie jak droga idąca w górę między belwederem a ogrodem botanicznym. Po trzeci raz Bóg nas ocalił. Odtąd możemy bezpieczniej stawić czoło naszym nieprzyjaciołom, jesteśmy w większej liczbie: przy moście Sobieskiego złączyliśmy się ze Szkołą Podchorążych, która po napadzie na koszary jazdy,

cofnęła się na chwilę i zajęła to stanowisko tymczasowie.

Odtąd czynność naszego oddziału ze Szkołą Podchorążych wspólna, ale dla pełności opowiedzenia, potrzeba wrócić do chwili w której Wysocki przybył z miasta. Nie zapominajmy że było to już po siódmej godzinie, a więc spóźnienie się dłuższe jak o godzinę. Nie było czasu do stracenia. Wykładano właśnie Podchorążym teorię sztuki wojkowej, kiedy wszedł Wysocki ze Szleglem i Dobrowolskim i dobywszy szpady zawołał donośnym głosem: Polacy! godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy albo polegniemy — nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami.» Dzielna młodzież czekała tylko na to; odpowiedziała też natychmiast grzmiącym okrzykiem: «do broni! do broni!» a w kilka minut rozebrano ładunki, nabito karabiny, uszykowano się przed szkołą, i posunięto się ku koszarom z Wysockim na czele. Było ich stu sześćdziesięciu kilku przeciwko trzem pułkom jazdy, ale celniejszych strzelców, bieglejszych w robieniu bronią, jednym słowem doskonalszych żołnierzy nie miało pewno żadne wojsko. Pomyślność ataku zaręczało naprzód położenie jazdy w tych koszarach. Opasywał je do koła szeroki i głęboki kanał, nieprzebyty dla koni. Wnętrze chociaż miało kilka obszernych placów, ale zabudowane było kilkudziesięciu stajniami i mnóstwem pomniejszych domków gdzie kwaterowali żołnierze.

Nadto pomniejsze kanały o kilkunastu mostkach, oddzielały jedne koszary od drugich. Położenie to dobre dla piechoty, miało wielkie niedogodności dla jazdy napadniętej przez piechotę.

Druga okoliczność tłumacząca ten krok śmiały Podchorążych była ta, że według planu sześć kompanij z koszar Ordynackich, miały w tymże samym czasie zaatakować koszary z przeciwnej strony, podczas kiedy cztery działa bombardjerskie ze wzgórza pod koszarami Radziwiłłowskiemi, miały strzałami na wiatr siać popłoch w szeregach moskiewskich.

Podchorążowie zbliżając się do koszar zagrzmieli jednym wystrzałem na wiatr, już tak dla przerażenia Moskali, jak dla dania znaku kompanjom mającym przybyć z miasta, że walka już rozpoczęta, w tej samej chwili kiedyśmy wpadali do Belwederu — poczem wskoczyli w środek koszar ułańskich i ujrzeni przed sobą trzystu już uszykowanych do szarży. Mimo to posunęli się ku nim na pół strzału karabinowego i danym ogniem spędzili z miejsca ten oddział. Ale ten uszykował się na nowo za chwilę i ruszył klusem naprzód; wtedy Podchorążowie z mniejszej jeszcze odległości przyjęli go tak gęstym i celnym ogniem, że kilkunastu spadło z koni a reszta pierzchła w największym nieładzie, zwłaszcza przy tłoczeniu się na mostki pod ciągłym gradem kul polskich. Ale na tem musiano przestać. Spodziewany posiłek nie przybywał; kirysjery i huza-

ry mieli czas wsiąść na koń, wyjść z koszar i zająć drogi prowadzące do miasta; zresztą mały zapas ostrych ładunków, zmusiły Podchorążych opuścić zdobyte koszary a zająć stanowisko przy moście Sobieskiego, gdzieśmy ich znaleźli.

Wysocki liczył ciągle na spodziewaną piechotę i działa; ale wysłany na zwiady Kamil Mochnacki, wrócił po chwili powiadając, że zamiast polskiej piechoty, widział tylko kirysjerów uszykowanych dla przecięcia nam drogi do miasta; i tak było wistocie. Kirysjery zajmowały tak drogę idącą w górę ku alei Mokotowskiej, jak i tę co szła ku Wiejskiej Kawie. Wysocki daje rozkaz rzucenia się z bagnetem na nieprzyjaciela; sam na czele kilkunastu zwraca się w prawo ku konnicy zajmującej trakt boczny. Na chwilę Moskale cofnęli się już to przed bagnetami, już przed ogniem tyraljerskim Podchorążych: mogliśmy wziąć drogę ku miastu. Kolumną bojową, przy odgłosie bębna jednego, bijącego nam pochód, doszliśmy spokojnie do Wiejskiej Kawy, chociaż obserwowani przez kirysjerów postępujących za nami. Przy Wiejskiej Kawie nowy nieprzyjaciel przed nami: szwadron huzarów z całym pułkiem w odwodzie, uszykowanym nieco dalej. Nowa walka. Szczęściem, tuż na lewo były koszary Radziwiłłowskie, budowa niedokończona. Mieliśmy czas szybkim ruchem dopaść do niej; większa część naszych zajęła jej wnętrza i z okien razila Moskali którzy usiło-

wali zająć drogę do miasta — kilkunastu zostało pod bramą; byłem właśnie pomiędzy nimi. Sam nie strzelałem, zaopatrywałem tylko moimi ładunkami Podchorążych, a czasem ramię moje służyło ich karabinom za soszkę do lepszego celowania. O kilka kroków przedemną przesuwały się huzary, a w tem przemykaniu się nie jeden w moich oczach spadł z konia. Wysocki myślał przez chwilę utrzymać się na tem stanowisku, raz przez chęć zatrzymania na sobie jazdy moskiewskiej, aby tym sposobem dać powstaniu w mieście porę rozwinięcia się, powtórę w nadziei że się doczeka wyglądanych kompanij: brak coraz większy ładunków nakazywał dalszy pochód. Na okrzyk: «oblegają nas» cała szkoła rzuciła się z bramy na jazdę a ta pierzchła na prawo i na lewo przed naszymi bagnetami. Ostatnia zapora padła — wchodziliśmy do miasta jak zwycięzcy.

Koło kościoła Aleksandra, spotkaliśmy generała Potockiego zwanego Stasiem. Stał on tam dla szkolenia powstaniu i już mu nie mało zaszkodził, o czem my, ma się rozumieć, nie mogliśmy jeszcze wiedzieć. Przeciwnie był on, jako jeden z towarzyszy Kościuszki i Napoleońskich generałów, przedmiotem czci naszej, a w tej chwili nieocenionym gdyby chciał stanąć na czele naszym. Otoczyliśmy go z uszanowaniem: — «Jenerale wołaliśmy, prowadź nas dalej przez miasto.» — Wysocki i Szlegel połączyli swoje proźby z naszymi: «Zaklinamy cię, Jenerale, na miłość ojczyzny, na

wieży Igielstroma, stań na naszym czele. Nie sądź że Szkoła tylko powstała; całe wojsko jest za nami. » — Zdawał się wahać jakąś chwilę, ale zła myśl przemogła, nie dał się zmieknąć. Wysocki rozkazał zostawić go i ruszać dalej. Postępowanie Wysockiego tłumaczy się tem, że Zaliwski zapewniał go, jakoby Potocki zobowiązał się przed nim słowem honoru stanąć na czele powstania, gdyby mu brakło innego dowódcy. Inaczej byłby aresztowany, a może w tej chwili byłby go spotkał smutny koniec jaki go spotkał kilka godzin później. Stracił on na zwłocę, bo się obciążył większą winą przeciw sprawie narodowej.

Wkroczyliśmy nareszcie na Nowy Świat. Była to część miasta zamieszкана najwięcej przez wyższych oficerów i urzędników moskiewskich. Weszliśmy jakby w pustkę, jakby w atmosferę grobu. Żadnego ruchu, żadnego życia; domy pozamykane, okna podobnie. Na próżno wołamy do broni! bijemy we drzwi i okienice kolbami karabinów, żaden głos, żaden ruch życia nie odpowiada. Smutek, oburzenie, w końcu pewna wściekłość opanowuje nasz oddział. Wchodzimy na Krakowskie Przedmieście. Oblicze i atmosfera ta sama. Jakby sen zaklęty ogarnął wszystkich; a my jedni żyjący, samotni na tym cmentarzu. Duch powstańców nie upadł, ale rozdrażnienie doszło do wysokiego stopnia. Odtąd biada temu kto się z nim zetrze. Ciosy krwawe, śmiertelne, będą budziły śpiących, lub zmyślających uś-

pienie. W takim usposobieniu Podchorążych wpadł pierwszy w ich ręce generał Trębicki. Od kilku dni poruczony mu był nad nimi szczególny dozór, i w tem urzędowaniu okazał całą surowość wojskową. Mimo to, mimo że powiedział im natychmiast otwarcie dokąd idzie (do W. Księcia), widzieli w nim tylko zdolnego żołnierza i mogącego być pożytecznym narodowi w sprawie wyzwania się, zaczęli więc od łagodnego wezwania aby ich prowadził dalej. Trębicki na to odpowiedział nie tylko odrzuceniem ich wezwania, ale najsurowszemi pogrozkami jeżeli nie złożą natychmiast broni i nie zdadzą się za jego pośrednictwem na łaskę Carewicza. Podchorążowie zdolali jeszcze pohamować się, tylko otoczyli go eskortą i prowadzili z sobą dalej. Dochodziliśmy do pałacu Namiestnika, kiedy nam zajechał Hauke minister wojny, mając obok siebie swego Szefa Sztabu Meciszewskiego, a za sobą generała Rautenstraucha. Chciał on przerazić nas ostrem odezwaniem się, mniej na to zważaliśmy, ale Meciszewski dał się skuścić myśli nieszczęśliwszej, dobył pistoletu i strzeliwszy w tłum, ranił w nogę jednego z Podchorążych: we mgnieniu oka już ich nie było na koniach, a dwa trupy leżały na bruku. Rautenstrauch, zaraz po strzale Meciszewskiego, zwrócił się co prędzej w ulicę Trębacką i zniknął — żywy. Smutniejszy był wypadek z generałem Nowickim. Po odprawie z Haukiem zbliża się karetą, stangret na zapytanie « kto

jedzie? » — odpowiada: « Jenerał Nowicki. » Podchorążym zdało się że mówi: jenerał Lewicki (jenerał moskiewski, komendant miasta) i kilka strzałów padło w karete i biedny starzec zginął przez pomyłkę.

Z Krakowskiego Przedmieścia wzięliśmy drogę ulicą Wierzbową. Zatrzymano się tam na chwilę i probowano jeszcze raz obudzić polskie czucie w Trębickim. « Połącz się, błagali go, zaklinamy cię, połącz się ze sprawą narodu, stań na naszym czele, widziałeś co spotkało zdrajców. » Trębicki odpowiedział z najzimniejszą krwią: « Nie stanę na waszem czele; wy jesteście *nikczemni* wy jesteście *mordercy*. » Ale po takich nawet obelgach, powiedziano mu tylko: « Jenerale! dajemy ci czas do namysłu, » i prowadzono go ulicą Biełańską. Dopiero przy końcu prawie ulicy zatrzymano się; ale gdy na ich nowe naleganie odpowiedział stanowczo: « możecie mi życie odebrać, ale nigdy nie zmusicie mnie do złamania wiary zaprzysiężonej monarsze » padł przebity bagnietem Podchorążego Pawłowskiego. W kilka jeszcze godzin widziałem jego trupa leżącego na tem samem miejscu w rynsztoku ulicy.

W kilka chwil byliśmy przy arsenale, z wielką naszą radością. Arsenał otoczony był na wszystkie strony wojskiem powstańcem; ruch, zgiełk, nieład powstania; ale w tem wszystkim życie, poświęcenie się, gotowość na wszystko jaśniejące na wszystkich twarzach,

we wszystkich oczach. Pulk Wołyński świeżo odparty, a jako ślad walki leżący na bruku trup jenerała Blumera, który prowadził ten pulk dla owładnięcia arsenału, a wszystko to oświecone niezgasłym jeszcze pożarem domu na Nowolipiu, podpalonego jako hasło powstania w tej części miasta; a wszystko zakończone radosnem powitaniem Szkoły Podchorążych, która ze wzorowem poświęceniem spełniła swoją powinność tej nocy. Jeżeli nie wszystko jej poszło jak plan zakreślał, to przynajmniej nie z jej winy. Jej odwaga, jej patriotyzm wyszły czyste z tej próby. Zostawieni samym sobie, utrzymali się na wysokości swojego stanowiska; w obec napotkanych przeszkód dokonali więcej niż zwyczajna siła ludzka zrobić może. Przyjęli chrzest godny tej walki która ich czeka w dalszem rozwinięciu się powstania; z tym chrztem wlewają się w ogół, w naród walczący o swoje święte prawa.

Zostawmy na chwilę nasz obóz, a przenieśmy się teraz do głównej kwatery obozu nieprzyjacielskiego, w okolice Belwederu. Rozpoczyna się tam robota, której formy są jak na teraz mało wydatne, ale duch jej zabójczy, i z czasem dopiero objawi się na polu działania naszego. Przenieśmy się w chwilę kiedy opuściliśmy Belweder — wróćmy do niej.

W. Ks. KONSTANTY.

W tem miejscu wyreczęm się słowami Mo-

chnackiego, malującemi wiernie wypadek do którego się odnoszą :

Vice-Prezydent Lubowidzki przybył do Belwederu z pewną już wiadomością o mającej wybuchnąć rewolucji. Wielki Książę przesyłał się o tej porze, według swego zwyczaju.

« Powstanie, pisze Mochnacki, zastało Carewicza śpiącego. Za pierwszym na dole okrzykiem, kamerdyner Kochanowski budzi go; przecierającego jeszcze oczy porywa gwałtem z łóżka i wypycha do gabinetu, z kąd tajemne schody prowadziły do lewego pawilonu Księżnej Łowickiej; uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem kilku spiskowych wpadło do tegoż gabinetu. U księżnej miała miejsce malarska scena. Ledwo nie u stóp Polki, której tron poświęcił, szukał Konstanty ratunku przed Polakami. Cały dwór niewieści był tam już zebrany; gdy Carewicz wbiegł do pokoju księżnej w nieładzie odzienia, kazała ona kobietom poklekać w koło niego i na głos odmawiać pacierze, pewna, że wśród zastępu silnego modlitwą i płcią, żadna go zemsta z rąk polskich nie dosięgnie. W takiej postawie, z gestami okazującemi bojaźń największą, z wejrzeniem obłąkania, zostawał w tem gronie przez kilka minut, nieprzytomny, blady i słowa wyrzec nie mogąc. W godzinę jeszcze potem drżał jak liść, a wsiadającemu na konia musiano nogę w strzemie zakładać. »

Dotąd słowa Mochnackiego.

Konstanty wszedł na konia, znalazł oddział

kirysjerów przed pałacem, na jego czele udał się między aleje i tam całą swą jazdę zgromadzić począł.

Wejrzyjmy głębiej w istotę całego wypadku na tym punkcie.

W Belwederze nie było pełnego zwycięstwa materialnego : W. Książę ocalony, pulki moskiewskie nie rozbijone ; ale odniesiono zwycięstwo ważniejsze bo moralne, okazano poświęcenie się i potęgę ducha polskiego. Ta potęga rozbiła ognisko ducha moskiewskiego w łonie Polski, a owo rozbitcie rozstrzygało cały ruch na korzyść powstania i cała późniejsza jego świetność była skutkiem tego rozbitcia. Od tej chwili przewaga moralna ducha polskiego nad duchem moskiewskim, przewaga mogąca w końcu uwieńczyć stanowczem zwycięstwem Polskę walczącą, gdyby w tejże samej chwili nie wcisnął się w ziarno ruchu zarodek klęski który w końcu miał cały ruch strawić. Nie był on dziełem Moskali, ale naszym własnem. Konstanty strącony był ze swego tronu w Polsce, był powalony ale nie był pokonany ; odurzony, zgluszony na chwilę, przyszedł wkrótce do przytomności ducha i pozornie przestraszony, oglupiały, niedołężny, pokazał się mędrszym od swojego otoczenia, którego nagliło aby natychmiast siłą tłumić powstanie ; jaśniej widzącym, niż się jemu samemu w owej chwili zdawało. Przyznawano to Mongołom, że są najniebezpieczniejsi w ucieczce : Moskwa żyjąca spadkiem ducha mongolskiego,

stwierdziła nie raz prawdę tego mniemania, i Konstanty wierny temu duchowi, udaje się do jego taktyki odwiecznej. Ucieka przed Polakami a pokonanie ich zostawia samym Polakom, dokonanie swego dzieła zdaje na samych Polaków: « To sprawa Polaków, niech sami między sobą się rozprawia, (*c'est une affaire polonaise, qu'ils s'arrangent entre eux*). » powiedział między innemi Władysławowi Zamoyskiemu, kiedy ten w pełnieniu wiernem swoich adjutanckich przy nim obowiązków, przyniósł mu od Stasia Potockiego radę jakim sposobem może jeszcze stłumić powstanie, choć się to działo już około północy i ruch powstańczy trudniejszy był do stłumienia niżli kiedy się rozpoczynał. Słowa te padły na serca Polaków tej warstwy, która przed stu laty przyzywała Moskwę do pomocy w urzędzeniu wewnętrznem, i nie zna właściwszego dla siebie punktu podpory w swoich robotach śródnarodowych jak przemoc, choćby nawet cudzoziemską i nieprzyjazną Polsce.

Zajmijmy się teraz wypadkami które stwierdzają i wyjaśniają prawdę powyższej myśli głównej, a ztąd ważnej, że tu, w atmosferze Konstantego, objawił się naprzód zarodek organizacji która stała się reakcją wcieloną nasamprzód w pierwszej Radzie Administracyjnej, a później rozrosła się w formy większe.

Owóż pierwszym widowym punktem oparcia dla ducha opornego przyszłości polskiej jest osoba Konstantego, władza w nim uoso-

biona. Do tego punktu odnoszą się teraz wszystkie czynności reakcji, a jedną z pierwszych jej ofiar były właśnie sześć kompanij, które miały wspólnie działać ze szkołą Podchorążych.

« Z pomiędzy oficerów wspomnianych kompanij, jedni wcale nie należeli do związku, drudzy dopiero od kilku dni wprowadzeni, napróżno usiłowali wespół z kilką dawniejszymi spiskowymi odjąć komendę starszym którzy nie czuli w sobie wielkiej ochoty do działania w duchu sprzysiężenia, bo w nie bezpośrednio nie wpływali. — Kompanje ruszyły z koszar (Ordynackich) dobrze już po terminie. Szły częściami nie razem. Łóżne te oddziały w miarę jak zbliżały się do kościołka św. Aleksandra, odmawiał, bałamucił, Stanisław Potocki, demoralizowali adjutanci Carewicza, nakoniec obstępowała do koła kawalerja. Tym sposobem jedna kompanja po drugiej dostawała się w moc W. Księcia. W tym czasie właśnie Szkoła Podchorążych ucierała się pod Ujazdowem i koszarami Radziwiłłowskiemi z kirysjerami i huzarami. Carewicz wyjechał z alejów na spotkanie tej piechoty, chciał coś mówić do żołnierzy. W tem jeden z oficerów związkowych Wołoszyński, podporocznik z 3go pułku strzelców pieszych, wrywa karabin żołnierzowi obok stojącemu i bierze na cel W. Księcia. Spostrzega to Konstanty, spina konia ostrogami i odskakuje w bok krzyząc: strzelaj! strzelaj! Trzy razy Wołoszyński chciał dopel-

nić tego rozkazu, ale za każdą razą karabin nie spalił. Ztąd zamieszanie : Wołoszyński korzystał z niego przedarł się przez Moskali i przybył pod arsenał razem ze Stryjeńskim i innymi. Mniej skompromitowani zostali przy Carewiczu. Kompanje zostały odprawione w tył ku Belwederowi. — Działo się to między ósmą a dziewiątą godziną.

Teraz co się tyczy owych czterech dział bombardjerskich, na których współdziałanie Wysocki liczył w rozprawie z jazdą moskiewską.

Szkoła bombardjerów była pod dowództwem Nieszokocia, a dwaj niżsi jej oficerowie byli : Chajęcki i Janusz Czetwertynski. Nieszokoć zawiadomiony było chwili powstania przez Stolzmana dopiero 28go listopada. Nie był nawet w związku, tak związkowi byli go pewni. Zawiadomienie o powstaniu nie znalazło w nim zupełnej wiary ; sądził także że powstanie potrzebujące dział, powinno było wcześniej o nich pomyśleć ; tem bardziej, że działa jego stały w polu za obozem saperów, o milę prawie od koszar Radziwiłłowskich, gdzie miały być czynne, ludzie od nich w koszarach gwardji Wołyńskiej, konie w koszarach artyllerii gwardji, a amunicja w pracowni wojennej. Przesiedział więc spokojnie cały dzień następny w swoim mieszkaniu. Wybiła szósta godzina, siódma, już pół do ósmej, a żadnego ruchu, więc zwątpił ostatecznie o wybuchu powstania, dopiero okrzyk do broni, przekonał go o

prawdzie tego co mu Stolzmann zapowiedział. Ogromne miał zawady, ale energiczny i czynny, przy pomocy Chajęckiego i Czetwertynskiego wszystkiemu dał radę. Zebrał szkołę, w arsenale uzbroił swoich ludzi w karabiny ; w drodze po działa, przyłożył się ze swoimi bombardjerami do odbicia więzienia Karmelitów na Lesznie, dostał się do swoich dział, wprowadził je do miasta przez Wolskie rogatki, i szedł ulicą Elektorálną zmierzając ku kościołowi Aleksandra, zkąd miał się dostać do koszar Radziwiłłowskich, niestety ! za nadto późno, bo było to już między dziesiątą a jedenastą godziną : został zaprowadzony gdzieindziej. Nieświadomy rzeczywistego stanu rzeczy, trafia w bliskości banku na oddział strzelów konnych gwardji, którzy już patrolowali przeciw powstańcom ; tem bezpieczniejszy że Wysocki i Stolzmann zapewnili go o należeniu szaserów do spisku, powierza się oficerowi oddziału, który bierze na siebie eskortowanie go niby i obronę przeciw Moskalom, a tymczasem zaprowadza do Carewicza. Co bombardjerzy pocziwi spostrzegli dopiero wtedy, kiedy pułkownik Turno przybył do nich z czułem podziękowaniem od Księcia, że w samą porę przyprowadzili mu działa. W rozpacz Nieszokoć i Chajęcki chcieli sobie życie odebrać, zwłaszcza że żołnierze i podoficerowie czynili im gorzkie, poniekąd słuszne wyrzuty za spóźnienie tej wyprawy. Odparli jednak myśl samobójstwa tem postanowieniem, że na przypadek gdyby W. Książę

rozkażal atakować miasto, obróć dział przeciw niemu. Oto wyjaśnienie dla czego Wysocki nie miał tych dział, jak to było w planie.

Połączenie się z Moskalami strzelców konnych, których tu widzimy już w czynności przeciw powstaniu, było jednym najsmutniejszych wypadków tej nocy, jednym najboleśniej-
szych dla nas ciosów, tém boleśniej-
szym nie spodziewanym. Związkowi liczyli na ich spóldziałanie, Konstanty był dla nich dosyć zimnym, jak świadczy w swoim piśmie Wł. Zamojski; niedawno jeszcze dowodził nimi Seweryn Krzyżanowski, najwydatniejsza postać w związku Towarzystwa Patriotycznego: wszystko to kazało się spodziewać po nich czego innego jak wystąpienia przeciw rodakom w obronie rządu moskiewskiego. — Pułk ten mieścił się w koszarach Mierowskich. Około godziny ósmej, kiedy ruch powstania objawił się już niedwuznacznie, kapitan Trębicki, brat generała a jeden z adjutantów polskich Carewicza, z własnego natchnienia, pospieszył do ich koszar, zgromadził cały pułk, wyjąwszy jeden oddział, odbywający służbę patrolu na Saskim placu, i zaprowadził go do W. Księcia. — W. Książę uradował się nadzwyczajnie tą niespodzianką, która mu dostarczała broni polskiej przeciwko Polakom. Oświadczył im że polega na ich *honorze*, na ich *wierności*, że winien im *wdzięczność*, zapewniał że o tym *szlachetnym* postępku Cesarz uwiadomiony będzie i t. p.; a kiedy te wszystkie oświadczenia podnieśli

jeszcze wyżej Kurnatowski, Krasińscy Wicenty i Izidor, Zielonka, Skarżyński, pułk ten prawdziwie *nieszczęśliwy*, zmienił się całkiem w narzędzie czynne przeciw powstaniu, w narzędzie zacięte, bo gotów był więcej niż jazda moskiewska przelecieć galopem Warszawę i strącać « ten bunt ». Wykonanie tego rozpoczęło się pod dowództwem pułkownika Turno, także jednego z adjutantów Carewicza, który zajął z patrolem służbowym stanowisko na Saskim placu.

Wróćmy teraz do wątku rozwijającego się powstania na innych punktach w planie wytkniętych, i do chwili w której pożar na Solcu miał dać hasło.

Uderzyła godzina szósta na miejskich zegarach, pożaru na Solcu nie widać — Upiływają minuty, kwadransy liczone niecierpliwie przez związkowych; w tém oczekiwaniu z wątpienie zaczęło wielu ogarniać. « Dzisiaj mówili między sobą, nie już z tego nie będzie ». Wybiła godzina siódma — i jeszcze wszystko spokojne. I jeszcze pół godziny przechodzi w oczekiwaniu. Aż nagle rozlega się po mieście wiadomość o walce w Łazienkach i Belwederze. — Na tę wieść kilka ulic zagrzmiało okrzykiem « do broni! » na wielu punktach ozwały się bębny, Warszawa zbudziła się — powstanie zapukało do jej serca, Związkowi chwytają za broń. — Ale wtej chwili i Moskale odpowiadają na wyzyw alarmu. W koszarach gwardji Wołyńskiej, Czetwertyński wyprowadza szkołę bom-

bardziej z pośród Moskali, a z Belwederu przylatuje dorożką jakiś wyższy oficer moskiewski, każe uderzyć w bębny, woła o ludzi zdatnych do armat — Wołyńce uzbrajają się, szykują się i stają gotowi udać się na stanowisko które im naznaczono na przypadek alarmu, a tém stanowiskiem dla Wołyńców były place przed arsenałem i giełdą.

W koszarach Aleksandryjskich gwardja litewska postrzegłszy ruch niezwykły między Polakami, wychodzi na dziedziniec uzbrojona i uszykowana; czeka tylko na swego dowódcę Engelmana, który był na ten czas nieobecny, aby się udać na plac Marsowy, swoje stanowisko alarmowe. Nie rozbrojeni w salach jak plan nakazywał, mogli być rozbrojeni jeszcze na dziedzińcu przez grenadjerów, chociaż z większą trudnością, a nawet może z rozlewem krwi, ale kapitan służbowy Lękiewicz, nie będący w związku, staje z dobytą szpadą w branie koszar polskich i zabrania wychodzić żołnierzom, składając się tém że niema na to rozkazu. Nadbiega podpułkownik grenadjerów Kolbersz, i równie jak Lękiewicz chce oczekiwać rozkazów, a przynajmniej jenerała Żymirskiego, naczelnie dowodzącego grenadjerami. Pod ten czas jenerał Lewicki gubernator, wpada do koszar, i wyprowadza gwardję litewską na plac Marsowy. Związkowi po długim sporze z Lękiewiczem i Kolberszem, wyprowadzają wreszcie grenadjerów na dziedziniec; Kiekiernicki, jak mu zlecono, bierze dwie kompanje i udaje się

z niemi na zajęcie Pragi, co wkrótce dokonywa — ale reszta, większa zatrzymana jest jeszcze przybyciem jenerała Żymirskiego, który postrzegłszy zebrane na placu kompanje, gromi za to oficerów, równie jak za rozdanie ładunków, każe zsypać proch z panewek i daje rozkaz udania się za sobą na plac Marsowy, stanowisko alarmowe dla grenadjerów jak dla gwardji litewskiej. Żymirski miał być wtajemniczony przez Paszkowicza, niektórzy więc oficerowie związkowi sądzili że działa w duchu powstania, a co teraz robi to tylko dla tego aby się nie skompromitować przed czasem; inni wiedzeni lepszym przeczuciem odłamali swoje kompanje od kolumny, jak tylko przeszły bramę koszar. Tym sposobem Czechoski, Łaski, Klemensowski, Roguski, Bortnowski i Bortkiewicz ocalili kompanje 9tą, 10tą, 11tą, 12tą i 2gą wołyżerską, któremi dowodzili i przez Fawory, Zdroje, ulicę Zakroczymską udali się do arsenału. Nad Zdrojami spotkali się już z pikietami Kiekiernickiego, który zajął Pragę i oba mosty. Żymirski z innemi kompanjami stał jakiś czas na placu Broni, obserwując niby gwardję litewską, a w końcu zaprowadził je do Wgo Księcia.

W koszarach Sapieżyńskich pułk czwarty przeszedł także przez walkę ze swoim pułkownikiem Bogusławskim. Względem W. Księcia dla tego pułku a ztąd robione mu przymówki, rozbudziły tylko jego patriotyzm. Żołnierze jak oficerowie niczego nie pragnęli jak chwili

najrychlejszego powstania. Gdy się ta chwila zbliżała, Przeradzki, i Kosicki rozdali żołnierzom ładunki, poczem Wyszkowski i Święciecki wyprowadzili je z koszar, gdy w bramie zaszedł im drogę Bogusławski. Opór jego był daremny — rozbił się o energję Związkowych. Nie wiele brakło aby zginął. — Skończyło się na tém że go zwalono na ziemię, a pułk ruszył dalej. Dowództwo nad nim objął kapitan Roszlakowski i przez ulicę Franciszkańską zaprowadził pod arsenał, na sam czas rozpoczynającej się tam walki.

Przy arsenale były w owej chwili dwie tylko kompanje piątego linjowego. Jedna z nich dowodzona przez Czarneckiego stała na ulicy Przejazd między pałacem Mostowskich a koszarami gwardji artylerji konnej; druga pod Lipowskim z przeciwnej strony między barjerami rajtszuli artylerji a małym placem przy ulicy Nalewki. Odtąd działanie ich ograniczało się na chwytniu, przez male oddziałki wysunięte naprzód, oficerów rosyjskich przemykających się tą stroną. Tak zostali ujęci jenerałowie Esaków i Engelmann, dowódcy dwóch pułków pieszych moskiewskich, oprócz nich kilkunastu oficerów niższego stopnia. Osadzono wszystkich na odwachu przy arsenale.

Zapalono wreszcie dom na Nalewkach jako drugie hasło powstania.

Wtém pokazali się Moskale — byli to Wołyńce. Podzieleni na dwie części, zbliżali się

dwoma ulicami ku arsenałowi, mając działa na przodzie. — Grenadjery Lipowskiego, jak tylko ich postrzegli, przyjęli ich ogniem tak rzęsimym że zaraz padło ich kilkudziesięciu. Nie lepiej powiodło się drugiemu bataljonowi który pod pułkownikiem Owandrem przybywał przez mały plac za ogrodem Krasińskich. Przybyła właśnie kompanja 4go pułku z Roszlakowskim i wzmocniła kompanję Lipowskiego. Rozpoczęło się strzelanie na bardzo krótko — kiedy Moskale odsłaniali działa, nasi rzucili się z bagnetami, Porębiński sierżant z 4go pułku, zszedł bagnetem z konia komendanta artylerji, Wołyńcy pierzchli w nieładzie, zatrzymali się na chwilę o kilkanaście kroków, zabrali swoje trupy i znikli. — Było to pierwsze i ostatnie w tych dniach starcie się z wojskiem rosyjskiem.

Arsenał został już stanowczo w naszym posiadaniu.

Wtedy zginął także jenerał polski Blumer. — Przybył on pod arsenał razem z Wołyńcami, w zamiarze przemówienia do powstańców. Schwytany i prowadzony na odwach, usiłował rozbrajać żołnierzy, odpowiadziano mu strzałami karabinów. Dwie tylko kule trafiły, ale żołnierze mówili że miał tyle ran w głowie i sercu ile niesprawiedliwych wyroków podpisał, stosując się do woli Carewicza. Jednocześnie prawie Gresser adjutant Konstantego przemukał się z jednym za sobą kozakiem. Zatrzymano go przed pałacem Mostowskich, ale gdy za-

zażądał w imieniu Konstantego aby mu powiedziano « kto tu dowodzi? » posypał się grad kul który zwał go z konia — mniej szczęśliwy był kozak; chciał się wymknąć, w lot konia trafiła go kula — koń wysunął się z pod niego i popędził dalej, a on został na bruku bez życia.

Patrzałem na to. Był to jakiś cywilny, wyglądający na mieszczanina, którego strzał tak był celny; a widziałem to dobrze, bo stał o kilka kroków odemnie.

Właśnie tylko co przybyliśmy pod arsenał ze szkołą Podchorążych; a z innych stron nadeszły grenadjery gwardji i dwie kompanje pułku trzeciego.

Ważna to było chwila, wydatna w dziejach tej nocy. Najglówniejsi naczelnicy Związku znaleźli się razem. Obdzielono się nawzajem wiadomościami, złożono naradę. Stan rzeczy nie był pomyślny, nie poszło według planu — zostawało wiele, bardzo wiele do zrobienia, a przeszkody ogromne; nie tracono jednak ani odwagi, ani wiary w dobry koniec tego ruchu, postanowiono utwierdzić się w tym tu punkcie, bronić się do upadłego, a przedewszystkiém utrzymać się w posiadaniu oręża i pieniędzy, to jest, arsenału i banku.

Dopełniając poprzednie umocnienie arsenału, i ażeby przerzedzić cokolwiek wzrastający natłok, Łaski postawił pod pałacem Mostowskich swoich grenadjarów, i wzniesiono barykadę z działami wymierzonymi na ulicę Dziką. Spro-

wadził je Feliks Nowosielski, podporucznik z bataljonu Saperów, ze szkoły artylerji, do której był przyłączony jako oficer inspekcji. Nie było koni, nie było czasu szukać ich, więc podoficerowie szkoły zatoczyli je swojemi rękami aż pod arsenał — podoficer Korzeniowski sprowadził ładunki z laboratorjum.

W tymże czasie występuje na scenę działania bataljon Saperów. Wyruszył on ze swoich koszar i zmierzał ku arsenałowi — na Muranowie spotkał się z czołem kolumny Owandra, porażonej pod arsenałem. Dwie te kolumny przeciwne nie mogły się minąć, weszły z sobą w układy i przepuściły się wzajemnie. Wolyńce udali się na plac broni, gdzie się połączyli z gwardją litewską, osadziwszy drugim bataljonem swoje koszary i przyległe domki; sapery zaś ku arsenałowi. I oni musieli stoczyć walkę ze swoim dowódcą Majkowskim na placu broni. Chciał on zawrócić ich do koszar; napróżno oficerowie bataljonu, Karśnicki, Gawroński, Kołtunowski, Malczewski, Cerner przekładali mu że « muszą połączyć się z narodem » on obstawał przy swoim, aż porucznik Malczewski strzelił do niego z pistoletu — a kula która świsnęła mu koło uszu, obudziła w nim czucie polskie, w którym już wytrwał przez cały ciąg późniejszej kampanji — i szczerze, według świadectwa Mochnackiego.

Bataljon ten był na równi z pułkiem czwartym ulubiony Konstantemu, i mocno go przebraził swoim przystąpieniem do rewolucji.

Dotąd powstanie wzrasta wzmagającą się siłą wojskową, ma oblicze żołnierskie, ale to nie wystarcza do jego tryumfu — przychodzi nareszcie chwila gdzie się lud warszawski poruszył i wystąpił na pole walki, a tém wystąpieniem zmienia oblicze ruchu, ożywia go duchem narodowym, nadaje mu olbrzymią postać powstania rzeczywiście narodowego. Ruch ten objawia się po raz pierwszy na dwóch szczególniejszych punktach: na Krakowskim Przedmieściu i na Starem Mieście; na pierwszym punkcie zbudzili go wojskowi, na drugim cywilni. Zaczęło się od Teatru Rozmaitości. Zajączkowski, komendant odwachu na Krakowskim Przedmieściu z Józefem Dobrowolskim wpadają na teatr z dobytymi szpadami, wołając: «Panowie! w najlepsze się bawicie, kiedy Moskale naszych w pień wycinają.» — Można sobie w części wyobrazić skutek podobnego okrzyku na publiczności zajętej komedją. Aktorka, będąca wówczas na scenie miała zemdleć. Jakkolwiek było, to pewna że publiczność przerażona rozpierzchła się natychmiast na wszystkie strony i zaniósła popłoch w różne punkta stolicy. — Zajączkowski i Dobrowolski, zabrawszy wartę, pospieszyli dalej z okrzykami: do broni! Tak przebiegli Podwale, Senatorską i Miodową ulicę, i z młodym Żandrem, oficerem rosyjskim, schwytanym przy kolumnie Zygmunta, stanęli przy arsenale, w samą porę starcia się z Wołyńcami.

Ale ich przechód przeraził tylko pewną war-

stwę ludności,

Daję tu miejsce dosłownemu opwiadanu Mochnackiego, jako naocznego świadka tego, co się działo wtej dzielnicy.

«Wszędy, powiada on, z trzaskiem zamykano sklepy, domy. Latarnie pogasły. Jedna część mieszkańców kryła się przed rozruchem, którego wypadki mogły być tak wątpliwe; druga patrzała nań z okien, z góry. Smielsi, ciekawsi wybiegali na ulicę i zbierali tysiące bajecznych wieści. W ogóle jednak miasto obróciło się zaraz w pustynię; tylko lud prosty, rzemieślnicy, szewcy, krawcy, kowale, ślusarze *od razu* o co rzecz idzie zrozumieli. Na Starem Mieście, pośród tradycji 94go roku, na tym samym klasycznym bruku, gdzie za Kościuszki tylu zdrajców wisiało, Ksawery Bronikowski, Józef Kozłowski, Włodzimierz Kormański, Anastazy Dunin, Michał Dębiński, Ludwik Żukowski i ja oczekiwaliśmy sygnału do działania z tą samą niecierpliwością, która dręczyła spiskowych na innych punktach stolicy. — Godzina siódma już wybiła, a nie było końca próżnemu oczekiwaniu. Bronikowski poszedł na zwiady ku Nowemu Światu. Za pół godziny przyniósł najosobliwszą wiadomość: że Konstanty teraz dopiero wracał do Belwederu z teatru francuzkiego. Coraz niespokojnieni o los powstania, usłyszawszy zdala głos bębna, wychodzimy na rynek krzyżąc: do broni! do broni! Właśnie nadciągały dwie kompanje ósmego linjowego pułku z pobliskich koszar, (Marcinkanek). Jeden z oficerów

zapytany przez nas : « czy czas już działać ? » odpowiedział z udanem zadziwieniem : « o jakim działaniu panowie mówicie ? My tu jesteśmy, dodał, bo to jest nasz plac alarmowy ». — Ta odpowiedź pokazująca wygórowaną ostrożność, miała swe słuszne powody, bo jeśliby się rewolucja nie udała, mniej skompromitowani oficerowie mieliby zawsze w rezerwie ów rozkaz patrolowy, który ich wyjście z koszar usprawiedliwiał przed W. Księciem. Po chwili jednak krzyki z Podwala, z Piwnej ulicy i widok żołnierzy zwabiły na rynek mnóstwo mieszkańców Starego Miasta. Przemawialiśmy do nich jakieśmy mogli. Gdy się zebrały cokolwiek większe tłumy, ruszyliśmy z nimi przez ulice Senatorską i Miodową ku arsenałowi. Obydwie kompanje postępowały za nami. Na Senatorskiej zatrzymały się i zajęły dziedziniec Prymasowskiego pałacu. O paraset kroków od arsenału na ulicy Długiej już była wielka massa, coraz więcej łączyło się ludu z kolumną którąśmy z sobą przyprowadzili ze Starego Miasta, wszędzie brzmiały rewolucyjne odgłosy. W tym właśnie momencie nasi dali ognia od arsenału do nacierającej wołyńskiej gwardyi. Wrażenie tych pierwszych strzałów było tak silne, że co tylko przybyło z nami, co nadeszło z Podwala i z Nowego Miasta, pierzchnęło we mgnieniu oka i niewiem gdzie się podziało. tak że tylko sami spiskowi pozostali na ulicy. Ten chwilowy popłoch przeszedł, myśmy znowu pobiegli na Stare Miasto i lud znowu zaczął się zgroma-

dzać, rozszerzając z pierwszego przerażenia wieść, « że Moskale naszych wyrzynają, » co nie mało pomogło do podburzenia pospólstwa, ugrupowania go w różnych punktach Stolicy i ściągania z najodleglejszych przedmieść ku środkowi ».

Według planu broń znajdująca się w arsenale miała pozostać nietkniętą. Nie było potrzeby uzbrajać ludu, gdyby Moskale byli rozbrojeni, ale że się inaczej stało, że nieprzyjaciel przeważał już powstańców swoją liczbą, uzbrojenie ludności było koniecznem. Wezwano wielu rzemieślników do wysadzenia z zawias ogromnych drzwi dębowych arsenału. Gdy się ta robota zanadto przedłużała, Nowosielski zniecierpliwiony kazał wylamać kraty w oknach. Przez jakiś czas wynoszono oknami karabiny, pistolety, pałasze. Wysadzono wreszcie i bramę. Ale wszystka broń palna, nie miała skałek; Stoltzmann dopiero wskazał miejsce kryjome gdzie skałki były złożone. Odtąd zaczyna się uzbrojenie ludu, nielicznego z początku, ale w godzinę cisnącego się już niepoliczonym tłumem. W godzinę później, wszystkie już ulice, między arsenałem a Pragą roiły się zbrojnemi gromadami ludu.

Nie spuszczać się na tę nową siłę, wzmożono punkt arsenału. Znaleziono w arsenale trzy działa; mieliśmy więc z dwoma przyprowadzonemi wprzód ze szkoły artylerji, dział pięć. Rozstawiono je w ten sposób : dwa działa pod komendą Grabowskiego, broniły przystępu

od Muranowa, dwa drugie pod komendą Wali-górskiego, za barykadą na prędce zbudowaną z cegieł, ostrzeliwały plac przed pałacem Mostowskich, piąte skierowane na Leszno było powierzone Nowosielskiemu. Brakło amunicji, ale znaleziono trochę prochu w arsenale, podoficerowie ze szkoły artylerji wzięli się natychmiast do robienia ładunków. Nie było *rassy*, grenadjery i sapery, pozrzucali natychmiast rękawice, chociaż zimno było dokuczliwe, i z pomocą tych rękawic poszła robota ładunków. Kule stosami leżały przy arsenale, chodziło tylko o wybór ich odpowiedni kalibrowi dział któreśmy mieli.

Nie wszystkie jednak punkta ułatwiające nieprzyjacielowi przystęp do nas były obwarowane, jak tego wymagało działanie; ale była do rozporządzenia, bezczynna dotąd główna bateria garnizonu, licząca dział ośm, w koszarach artylerji gwardji. Dowodził nią pułkownik Chorzewski. Kiedy Nieszokoć oddalił się z bombardjerami, po działa stojące w obozie saperów, porucznik Czetwertyński i Gajewski Wojciech podoficer, nalegali na Chorzewskiego aby przynajmniej temczasem wysłał kogoś na Pragę po amunicję złożoną tam w prochowni. Na to Chorzewski odpowiedział ostrem sfukaniem Gajewskiego. Uległ dopiero w części kiedy przybył Nowosielski z odwiedzionym pistoletem w rękę, zostawując mu do wyboru śmierć, albo współdziałanie w sprawie narodu. W skutek tego Czetwertyński z podoficerem

Szadurskim, wzięwszy trzy furgony i jaszczyk, eskortowani przez pluton 4go pułku pod komendą Przeradzkiego, udali się na Pragę. Pomnażał eskortę lud wzywany do tego po drodze, z powodu fałszywych pogłosek, że kirsjery przecinają od Solca komunikację między Warszawą a Pragę. Zatrzymano się przez chwilę na Krakowskim Przedmieściu dla strzelców konnych którzy zaczęli patrol saperów od Saskiego Placu, ale wkrótce musieli się cofnąć przed ogniem saperów. Późem wyprawa przybyła na Pragę; którą jak widzieliśmy wyżej zajął Kiekiernicki. W jego też mocy była i prochownia, z której wydał natychmiast Czetwertyńskiemu żadaną amunicję. W godzinę po wyruszeniu z koszar artylerji wrócił do nich Czetwertyński z zapasem ładunków, rozdawszy część ich po drodze uzbrojonemu ludowi. Chorzewski jeszcze się wahał, jeszcze się wymawiał tem, że bez osłony nie może wyprowadzać dział na ulicę. Sprawdzono więc z pod arsenału kompanję grenadjerów; ale gdy zwłóczył dalej pod pozorem że oczekuje wyższych rozkazów, rada oficerów piechoty postanowiła położyć koniec tej zwłóce śmiercią jego. Ocalił go Czetwertyński przedstawiając im, że oficer ten może jeszcze być pożyteczny sprawie, że nie wymawia się od udziału w rewolucji, tylko oczekuje jakichś wyższych rozkazów. Kiedy nareszcie Onufry Korzeniowski przemówił do niego w obec wszystkich, że odtąd bez wyraźnej zdrady nie

może zatrzymywać dział w koszarach, rad nie rad kazał wystąpić baterji. Jakoż około północy wyruszyła ona z koszar i rozłożyła się w tych stanowiskach: Orłowski z pierwszym plutonem skierował działa swoje na Nalewki i Nowolipie; Ekielski i Łabanowski ze czterna działami stanęli na placu Krasińskich: z tych jedno obrócone wylotem na ulicę Freta, drugie na Miodową, a dwa pod teatrem; Hauke zajął Tłumackie, wymierzając jedno działo z Biełańskiej do Saskiego Placu, a drugie na Leszno z kąd zeszedł był Nowosielski. Tym sposobem zapelnione zostały przerwy obronnej linii w okół stanowiska zajmowanego przez powstańców, zabezpieczona podstawa działania. O to też głównie w tej chwili chodziło, zaczem nadejdzie pora zaczepnych ruchów. Przez ten czas liczne tylko patrole wysyłano w różnych kierunkach. Ze strony Rossjan nie czyniono także żadnych kroków naprzód. Kawalerja ich z W. Księciem od rogatek Mokotowskich, pułki piesze wołyński i litewski przy placu Marsowym stały spokojnie. Tylko strzelcy konni podsuwali się ciągle i docierali do Saskiego Placu, ale za każdą razą zmuszeni byli cofać się przed ogniem Saperów, którym towarzyszył uzbrojony i gwarny tłum ludu.

Tę chwilę skupienia się dwóch sił przeciwnych, odznaczyły dwa smutne ustępy: śmierć generałów Siemiatkowskiego i Potockiego. Siemiatkowski grał właśnie w wista z pułkownikiem Skrzyneckim, kiedy się objawił w

mieście ruch i zgłask powstania, i zdaje się nie miał chęci opierania się jemu; ale Skrzynecki przedstawił mu, że jako Szef Sztabu ma obowiązek udać się tam gdzie osoba carewicza jest zagrożona. Mimo tę radę Siemiatkowski waha się, ale kiedy Skrzynecki odezwał się: « Co powiesz jenerale, W. Księciu jutro, czem się usprawiedliwisz, kiedy on to wszystko uspokoi? Allez, dodał, et dites à Monseigneur que je suis corps et âme à lui. » Siemiatkowski wsiadł na konia, a ledwo zrobił kilkadziesiąt kroków, trafił na oddział saperów i kompanję grenadjerów, a gdy przemówił do nich ostro, z góry, w tonie jenerała posłusznego W. Księciu, odpowiedział mu śmiertelnym strzałem Baliński podoficer z ósmej kompanji grenadjerów gwardji. Tak Siemiatkowski padł trupem na Saskim placu, a Skrzynecki wymknął się z Warszawy i wrócił do Pułtusk gdzie pułk jego stał garnizonem. We trzy miesiące został Naczelnym Wodzem powstańców.

Smutniejszy jeszcze bo więcej zasłużony jest koniec Stanisława Potockiego.

Widzieliśmy go jak pierwszy wystąpił czynnie przeciwko powstaniu i najwięcej przyłożył się do zamięszania go w samem zaczęciu przez zbałamucenie kilku kompanji które miały wesprzeć Szkołę Podchorążych, jak odepchnął błagania, zakłęcia w imię ojczyzny, aby stanął na czele jej sprawy, ale na tem nie przestał. Zły duch który go opętał, bo niczem innem nie da się wytłumaczyć to obłąkanie, ten upór na dro-

dze niepolskiej starca otoczonego dotąd miłością i czcią rodaków, zły ten duch trzymał go i prowadził aż do ostatniej jego chwili; natchnął go radą, którą przez Władysława Zamoyskiego przesłał W. Księciu, aby niezwłocznie puścił swoją jazdę na miasto i jej kopytami stratował powstanie, nie wzmocnione jeszcze, opędził go po całym mieście, nareszcie przyprowadził w okolice arsenału. Stała w tym miejscu kompanja grenadierów 5go pułku linjowego pod dowódzcą Lipowskim; Potocki przemawia do żołnierzy, usiłuje nawrócić ich, w końcu rozkazuje Lipowskiemu, aby ze swoją kompanją szedł za nim do Belwederu. Widząc to kilku cywilnych, przybiegają do Zaliwskiego który znajdował się wtedy nie daleko, na Tlumackiem i powiadają mu że Potocki rozbraja żołnierzy. « To mu palcie w łeb » odpowiedział Zaliwski. Owi cywilni spieszą na powrót, otaczają Potockiego, zrywają pióro z jego kapelusza, on się broni szpadą, ale ciśnięty coraz większym tłumem, kiedy mu i szpadę złamano zostaje obalony na ziemię, zbity, skrwawiony; — nadbiegał właśnie oddział żandarmów i byłby go może uratował, ale kilka strzałów z szeregu grenadierów na śmierć go zraniły. Zanieśiony do pałacu Zamoyskich, umarł w kilkanaście godzin.

Były to ostatnie prawie krwawe ciosy brońiącej się rewolucji.

Oprócz tych kilku chwil, gdzie groźna sprawiedliwość ludu zmuszoną była zrumienić

swój miecz krwią synów śmiących stawić jej czoło hardego oporu w obec rozwiniętej chorągwi narodowej, ogół tej nocy przedstawiał obraz, który podnosił serce i ducha nad wszelką obawę o przyszłość narodu, przeniósł je w chwile wielkości i swobody znane przodkom naszym, napelniał uczuciami życia i radości, jakie może zrodzić tylko spełniona czysta ofiara dla narodu, tylko zmartwychwstanie. Miałem czas i swobodę przypatrzeć się jemu. Z przybyciem naszym pod arsenał, zadanie moje główne, jak na tę chwilę było dopełnione; główny obowiązek prowadzenia dalszej walki spoczął na wojskowych, cywilnym nie pozostawało jak złąć się z ludem i nastrajać moralną jego stronę do tonu wypadków zaszłych i mających nastąpić. Złożyłem w arsenale mój karabin, zachowałem sobie na pamiątkę jeden z ładunków danych mi w Łazienkach, zaopatrzyłem się w parę pistoletów i szablę, zawiesiłem szablę na ręczniku którym byłem opasany po płaszczu, załknąłem pistolety za pas, zawinąłem w papier garść prochu i kilka kulek któremi opatrzył mnie jeden podoficer i tak rzuciłem się w tłum ludu. Nie czułem najmniejszego znużenia, najmniejszej potrzeby snu, tylko głód, skutek konieczny takiego ruchu ciała przez godzin kilka, cokolwiek mi dokuczał. Ale w podobnej porze i w podobnem wzburzeniu miasta, kiedy wszystko prawie było zamknięte, a co otwarte zapchane było tłumem przez który niepodobna się przedrzeć, mogłem znaleźć wódkę, nie

miałem nadziei posilić się choćby kawalkiem chleba. W tem spotkałem się z Robertem Chmielowskim i Tomaszem Malinowskim, których znałem od kilku tygodni jako należących do naszej roboty, a tej nocy czynnych w środku miasta. We trzech trafiliśmy na dobrą radę, wpadliśmy do Nejmanowej przy Długiej ulicy, gdzie byłem bliżej znany; było już około północy, ale gospodyni, dobra Polka nie zamknęła swej gospody, i pożywiła nas czem mogła. — Poczem znowu sam zostałem, bo miałem potrzebę dowiedzieć się na chwilę do mego mieszkania, ale że jak powiadam, nie czułem znużenia, wróciłem znowu na scenę publiczną.

Noc ta miała oblicze zasepione. Niebo powleczone mgłą, jakby jedną chmurą. Ale w tych ramach ponurych, obraz pełen ruchu, wrzawy, życia, zapалу, który ogrzewał, oświecał, ożywiał. Cała okolica arsenału i pobliskie place oświecone ogniskami; żołnierze jedni przy ogniskach i broń w kozłach, inni uszykowani pod bronią: patrole w różnych kierunkach, jedne wracają, drugie wychodzą. Twarze poważne, surowe, wyraz uroczysty jak przystało w chwilach podobnej ofiary, a opromienione blaskiem swobody tłumionej przez lata, blaskiem wiary w świętość sprawy. Dokoła tego obrazu, ulice jak promienie jego, rojące się tłumami zbrojnego ludu, w ruchu nieustannym wrące gwarem głuchym i groźnym jak huczenie nadchodzącej burzy; kiedy niekiedy, to tu to tam strzał pojedynczy, lub grzmot ognia

plutonowego ile razy strzelcy konni bliżej się podsunęli; a w tem wszystkim ład, zgodne działanie, karność wojska wyćwiczonego, jak żeby jedna wola kierująca uosobiona była w jednym naczelniku. chociaż w rzeczywistości na każdym punkcie, każdy dowódzca oddziału w sobie samym szukał rady, dowodził i rozkazywał niezawisłe. A ten dziwny, jedyny widok był tylko owocem tego samego zapалу dla świętego celu, tego samego zaparcia siebie w poświęceniu się dla wszystkich.

W tem miejscu zdaje mi się właściwem dotknąć pewnych zarzutów, które spotykają związkowych: a mianowicie, że nie ujeli w swoją rękę najwyższej władzy nad narodem powstającym, czyli że nie wystąpili jako rząd rewolucyjny; powtóre, że przez tę noc trzymali się więcej odpornie jak zaczepnie. Mojem zdaniem, sąd wolny od wszelkich teorii a sumienny w ocenianiu ze względem na rzeczywistość, uniewinni ich jak w jednym tak w drugim razie. W ówczesnym stanie stron obu, najwłaściwszem było trzymanie się przez pewien czas odporne. Powstanie tym sposobem urządziło się wewnątrz, wzmacniało podstawę swojego działania, unikało niepotrzebnego krwi rozlewu, zwłaszcza krwi bratniej, od kiedy część wojska polskiego znalazła się w obozie W. Księcia, nie stawiało powstania na los walki zawsze niepewny, a tem mniej pewny wśród warunków w jakich było jeszcze powstanie tej nocy. Zwłoka nie pogorszała ich stanu. Pułki

rossyjskie otoczone były wojskiem polskim, przed sobą miały załogę stolicy, za sobą na prowincji pułki niektóre tak bliskie, że mniej niż jeden dzień marszu potrzebowały, aby stanąć pod Warszawą: prędzej więc czy później byłyby zmuszone poddać się. Chodziło tu tylko o czas.

Pierwszy zarzut ma więcej za sobą pozorów. To wzięcie władzy rewolucyjnej przez ludzi rewolucyjnych, najwyższy kierunek sprawy w ręku tych którzy ją podnoszą, dobre jest jak czysta teoria, ale często niepodobne do wykonania w danej rzeczywistości. Naczelnicy powstania znali tę teorię doskonale, a jednak nie zastosowali się do niej, i jest to jeden z najpiękniejszych rysów odznaczających duże i rozsądek twórców powstania. Okazali przez to znajomość narodu i jego ówczesnego usposobienia i trudniejszą jeszcze znajomość samych siebie. Czuli do czego byli zdolni i to wykonali, a nie rwali się do tego, do czego sił w sobie nie czuli. Była w tem pokora, była czystość moralna która zasługuje na pochwałę i na naśladowanie. Pełni poświęcenia się dla zaczęcia, gotowi na śmierć haniebną nawet, gdyby się nie udało, a udania się nic im nie zapewniało bezwarunkowo, spoczęli z resztą w wierze, że naród cały gotów jest jak oni do ofiar i poprze ich dzieło i poprowadzi ich przez ludzi, których sam uznawali za zdolnych do tego: było więc w tem uszanowanie woli narodu, poddanie jej swojej własnej woli. Z resztą

dzielili z narodem cześć dla pewnych władz, dla pewnych osób, korzyli się z nim przed ich zasługami przeszłymi, ufali im jak naród ufał. Widzieliśmy jak w pierwszym kroku ofiarowali władzę, poddawali się natychmiast pod rozkazy Stasia Potockiego, Trębickiego nawet. Była w tem pewna wzniosłość prostoty, ufności dziecinnej, zaparcia siebie, wolność od jakiegokolwiek zarozumiałości, która rozrzewnia. Tem mniej można im mieć za złe, że budowali na takim jenerale jak Chłopicki, że nie mogli w nim dojrzeć zakrzepnięcia polskich uczuć, jak równie w wielu innych, których wartość wewnętrzna, niższa od przypuszczanej, później się dopiero odkryła, pod wypadkami pracami do ofiar nie dwuznacznych. Jednem słowem, co mogli zrobić, co założyli sobie, to zrobili; co inna część narodu chciała wziąć na swoją odpowiedzialność, tego zatrzymać przy sobie nie mieli ani siły ani prawa i za to nie są odpowiedzialni. Powstania późniejsze wychodziły z władzami już gotowemi i mimo tego upadały; nie jest to więc rękojmią powodzenia tak ważna jak się niektórym zdaje; wszystko zależy od jedności lub rozstrojenia kierunków, a ztąd woli zbiorowej, w głębi duszy ukrytych.

Wracam teraz do ciągu mego opowiadania.

Obraz na którym zatrzymałem się, ze zbliżającym się dniem wypełniał się coraz więcej, co raz więcej się ożywiał. Gromady zbrojnego ludu mnożyły się, i pod przewodnictwem to cywilnych, to wojskowych, przybierały coraz

wyraźniej postawę zaczepną, zazierały śmielej nieprzyjacielowi w oczy. Obronna linja głównego stanowiska powstańców, posuwała się naprzód w różne strony, rozszerzała okrąg działania. Nad samym rankiem przybył zastęp posilkowy na który powstańcy najwięcej liczyć mogli z pewnością: utworzył się legjon, cały prawie złożony z uczniów Uniwersytetu i innych szkół, mając na czele swoich kompanij uwolnionych świeżo więźniów, lub należących do wyprawy Belwederskiej, a najwyższym naczelnikiem profesora Lacha Szyrmę i już, jeżeli się nie mylę, Kazimierza Bródzińskiego. Legjon ten zajmował głównie Leszno.

W takim stanie ujrzał powstańców świt 30go listopada, ale ujrzał i drugie lice tego obrazu, które się wykluło w ciągu tej nocy i objawiło z dniem nowym. Był to duch przeciwny duchowi powstania, kierunek jego odwrotny, ubrany już w ciało i przymioty władzy. Jakkolwiek opowiadanie moje rozszerzyło się nad zamierzony mu zakres, wszakże niepodobna mi pominąć w milczeniu tego zjawiska, które jak robak w zawiązku owocu, osiadło zarodek powstania i przybierając różne przeobrażenia, roztoczyło je w końcu. Dla kilku powodów, a głównie przez wstąpienie do tego przedmiotu, w treści tylko przedstawie jak się to stało; ciekawi szczegółów znajdą je w Pamiętniku Władysława Zamoyskiego.

Okolo ósmej wieczorem, kiedy się już powstanie zaczęło, wpadł do Władysława Zamoyskiego

skiego Bezobrazow, adjutant W. Księcia, z wieściami o tem co się stało w Belwederze i w Łazienkach; Zamoyski był także jednym ze trzech polskich adjutantów przy W. Księciu.

Zamoyski wsiadł natychmiast na konia i pośpieszył do W. Księcia. Znalazł go w wielkiej alei Ujazdowskiej, otoczonego licznym orszakiem, w którym byli jenerałowie polscy Krasinski, Kurnatowski, pułkownik Turno, jeden z polskich adjutantów Księcia, a do koła dywizja kawalerji gwardji, to jest trzy pułki rosyjskie i czwarty polski strzelców konnych; z piechoty: kilka kompanij polskich, które podchwycił jak widzieliśmy Staś Potocki. Konstanty, jak tylko postrzegł Zamoyskiego, przemówił do niego słów kilka, w których przebiegało się oburzenie, przestach i zadziwienie, i rozkazał mu wracać zaraz do miasta po wiadomości, narzekając że nikt mu prawdziwych dać nie może. Zamoyski spełnił rozkaz, i w krótkce powrócił oznajmując że powstańcy są panami arsenału i więzienia karmelickiego, że pułk czwarty i bataljón Saperów, ze swojemi oficerami są na czele powstania. Ta ostatnia wiadomość przeraziła widocznie Wgo Księcia; te dwa korpusy najwięcej lubił, jako najlepiej wyćwiczone.

Po chwili wysłał znowu Zamoyskiego do miasta. Zamoyski dociera do placu bankowego, gdzie Staś Potocki trzymał w bezczynności kilka kompanij grenadierów linjowych, które

niedomyślały się jeszcze prawdziwych zamiarów tego Jenerała. Potocki widział jaśniej i nie śmiał prowadzić ich otwarcie przeciw powstańcom, bez wyraźnego na to rozkazu. Teraz mając sposobność znieść się z W. Księciem, przesyła mu tę radę: « Niech W. Książę rzuci całą jazdę w ulicę; niech szwadrony klusem zmiatają co tylko napotkają, i na wszystkich z kolei punktach się okazują. Oto co mu po zostaje do zrobienia. Ale niech nie traci ani chwili. Od trzech godzin powinien był to zrobić. » — Działo się to już około jedenastej.

Zamoyski pospiesza z temi słowami do Wgo Księcia. Usłyszawszy to Konstanty, zawołał z żywością, że niema kawalerji. — Po krótkim milczeniu jaśniej się wytłumaczył, że kawalerja będąca przy nim to są Rossjanie, a żaden Rossjanin, chyba zmuszony bronić się, ani wystrzeli, ani dobiedzie szabli w całej tej sprawie. Najważniejsza część jego wybuchu zamyka się w tych kilku słowach: Polacy zaczęli — to sprawa polska — niech się między sobą rozprawią. « Teraz pokaże się czy zasłużyli na tyle dobrodziejstw. » Mówił dalej w tej treści i jeszcze raz tém zakończył: « ja do niczego się nie mieszam, to rzecz Polaków, Polacy powinni ją załatwić. » Z resztą, po pewnej przerwie dodał wskazując na Strzelców konnych: « oto są Polacy, weź ich i zaprowadź do Stasia Potockiego, niech z nimi robi co chce. » I ostatecznie dał rozkaz Wincentemu

Krasińskiemu i Kurnatowskiemu aby z tym pulkiem udali się do miasta.

Zamoyski był przerażony słowami W. Księcia. Dotąd był przekonany że powstanie jest burdą którą łatwo poskromi W. Książę, teraz otwarły mu się oczy, zobaczył, że ten wybuch chociaż niewczesny, źle obrachowany i klęskę tylko zapowiadający, nie jest tak łatwy do stłumienia. Wdania się nawet szaserów nie uważał za środek stanowczy — Ale, jak sam oświadcza, zapamiętał te tylko słowa Konstantego: « Nie mieszam się do niczego, niech Polacy sami sobie radzą. »

A niema innego sposobu zaradzenia tylko opanowanie powstania przez władzę z ludzi porządku, że zaś to opanowanie było niepodobnem przez siłę, więc je opanować podstępami — kłamstwem.

Rzecz prosta, że do podobnego pomysłu mieli najpierwsze prawo ludzie utrzymujący porządek w Polsce pod berłem carskiem — to jest Rada tak zwana administracyjna. — Rada ministrów; a że Adam Czartoryski był jej członkiem, chociaż od 1818go roku nie brał udziału w jej czynnościach, do niego więc pospieszył Zamoyski. Czartoryski znalazł myśl tę dobrą, widział także potrzebę władzy, zaczęła rewolucja opamiętała się i swoje postawi, i wysłał natychmiast Zamoyskiego do Sobolewskiego prezesa Rady z wezwaniem go w imieniu Czartoryskiego, aby zwołał Radę. Była północ, ulice były pełne wojska lub zbrojnego

ludu. Zamoyski, na prośbę Sobolewskiego, wziął na siebie zawiadomienie sekretarza rady Tymowskiego i Lubeckiego ministra skarbu. Mostowski, minister spraw wewnętrznych, nie mógł być zawiadomiony, z przyczyny że mieszkanie jego znajdowało się otoczone powstaniem.

O godzinie drugiej zebrała się w mieszkaniu Sobolewskiego większa część Rady, oraz kilku wyższych urzędników i senatorów. Zamoyski powtórzył zebrany swoją rozmowę z Wielkim Księciem, która jasno pokazywała Radzie że na pomoc siły moskiewskiej nie powinni rachować. Postanowiono jednak przedewszystkiem wysłać deputację do Wgo Księcia, dla urzędowego przekonania się o prawdzie tego co im Zamoyski udzielił. Czartoryski i Lubecki wybrani przez Radę, udali się w tym celu do obozu Księcia, którego już uprzedził o tém Zamoyski. Konstanty przyjął ich słowami tej samej osnowy w jakiej mówił Zamoyski. Po długiej rozmowie, deputowani pożegnali go oświadczając, że ze swej strony zrobią wszystko co potrzeba aby ośwładnąć ruchem.

Po powrocie deputacji do miasta przystąpiono natychmiast do dzieła. Zajęto się najprzód składem nowego Rządu. Dla omamienia ludu wezwano osoby które miały jego cześć i zaufanie, jako to : Czartoryskiego, Paca, Niemcewicz, Michała Radziwiła, Chłopickiego, i t. d. Ogłoszono to aktem drukowanym, podpisanym tylko przez Lubeckiego i Sobolewskiego; Pac

mianowany tymczasowym wodzem naczelnym, bo Chłopicki wypłoszony z teatru Rozmaitości przez powstanie, krył się w Prymasowskim pałacu u pułkownika Sobieskiego. Ten akt był dobrze przyjęty przez dobrodusznych powstańców; mniej nawet zważano że zaczynał się od słów : « W imieniu Cesarza Mikołaja » — Po większej części widziano w tém tylko formułę niedorzeczną rutyny.

Przeciwnie akt drugi równocześnie rozdawany i rozrzucany wywołał wielkie powszechne oburzenie. Umieszczamy go dosłownie :

« Polacy! równie smutne, jak niespodziewane wypadki wczorajszego dnia i nocy, spowodowały rząd do przybrania do grona swego obywateli z zasług swych znanych, i do odezwania się do was. Najjaśniejszy W. Książę Cesarzewicz wojskom rosyjskim wszelkiego działania wzbronil : gdyż rozdwojone umysły Polaków, Polacy sami skojarzyć powinni. Czy Polak we krwi bratniej ma bróczyć dłoń swoją? Chcielibyście dać światu widok największego dla kraju nieszczęścia, domowej niezgody? Właśnie umiarkowaniem jedynie ocalić się możecie od pogrążenia się w przepaści, nad którą stoicie! Wróćcie zatem do *porządku i spokojności*; a wszelkie uniesienia niech przemina z nocą która je pokrywała. Pamiętajcie na przyszłość drogiej, a tylu nieszczęściami skolataney ojczyzny; oddalcie wszystko coby mogło narazić nawet samo jej istnienie. Do nas będzie należało dopełnić powinności naszej w zape-

wnieniu bezpieczeństwa ogólnego, w poszanowaniu praw i konstytucyjnych swobód krajowych. » Podpisani: Czartoryski, Radziwiłł, Kochanowski, Pac, Niemcewicz, a z dawnych ministrów — tylko Sobolewski i Lubecki.

Ten akt można uważać jako pierwsze próbowanie opinii publicznej. Niepojęty, przyjęty z zapalem, ułatwiałby nowemu niby Rządowi wzięść władzę na prawdę, cały ruch stłumić, główniejszych jego sprawców wydać Moskałom, przeprosić W. Księcia za wszystkie nieprzyjemności jakie go spotkały od źle myślących Polaków, wzmocnić jego władzę i ująć Polskę w karby surowszego jeszcze *porządku i spokojności* — i używać ich w błogiem odtąd bezpieczeństwie.

Ale przyjęcie tego aktu przez lud warszawski przekonało tych przyjaciół porządku, że nie są jeszcze dosyć silni do wystąpienia jawnego, że trzeba dalej przeplatać kłamstwo wybuchami niby szczerości — że przy zimnej rachubie i wytrwałości postawią w końcu na swoim. — Niestety! wytrwali, i postawili na swoim.

Ale w tej chwili oburzenie nasze było krótkie — trwoga jeszcze krótsza. Zapal wzrastał z każdą godziną. Najświetniejsza przyszłość leżała dotykalnie przed nami. Po dniach kilku, Konstanty ze swemi pułkami zniknął z okolic Warszawy. Miasto błyszczało polskim tylko orężem. Cała Polska w granicach Kongresówki wrzała zapalem walki o swoje prawa; cała

Polska ożyła duchem który 29^{go} listopada objawił się tylko w małej gromadce jej synów. Tyle tylko chciałem opowiedzieć, i opowiedziałem jak mogłem najwierniej.

DOMÓWIENIE

Taki był początek tego wielkiego ruchu narodowego, pelen zapalu, najświetniejszych nadziei, wiary w ich ziszczenie; koniec jego wiadomy. Kilkuset wojskowych, kilkudziesięciu cywilnych, po krótkiej pracy, bo po dwuletнім sprzysiężeniu, porusza cały ogrom narodowy, wywołuje potęgę która się mierzy przez dziecień miesięcy z pierwszorzędną potęgą eruropejską, i kończy się na tém że ten sam naród, silny wojskiem liczniejszym niż je miał przed powstaniem, daje się rozbroić, idzie pod jarzmo cięższe niż było dotąd. Wypadek ten przeto zamyka w sobie prawdę równie ważną dla nas jak straszną, musi mieć przyczyny których wyświecenie może nam służyć nadal za wielce zbawienną naukę. Nie nowy to przedmiot naszych rozmyślań i rozmów, nie jest jednak tak już wyczerpany, aby nie zasługiwał na nowe zastanowienie się nad sobą.

Z dwóch stanowisk można patrzeć na przyczyny upadku powstania Listopadowego; ze

stanowiska pewnej części narodu zwącej się inteligencją, której piętnem charakterystycznym jest spoczęcie w sferze przystępnej tylko rozumowi, i tylko pod jej światłem patrzącej na wypadki, i wyrokującej o nich z objawów uderzających jedynie zmysł rozumu, nie widzącej nic po za robotą ludzką; albo ze stanowiska ogółu narodowego, to jest niezmiernej większości narodu, ważnej nie tylko ztąd że jest liczniejszą, ale że swoją wiarą podnosi się nad sferę rozumu, widzi we wszystkim Boga, do niego wszystko odnosi, w nim widzi pierwszą przyczynę wszystkiego, w nim szuka lekarstwa na wszelkie zło swoje, czyli krótko mówiąc, żyje w atmosferze religijnej otwartej ludzkości przez Chrystusa: jest to stanowisko po prostu *chłopskie*, jak pierwsze mogące się nazwać właściwie *pańskim*. Najpowszechniej z tego drugiego stanowiska badamy powstanie Listopadowe, patrzymy na przyczyny jego upadku i podajemy lekarstwa na nie; ale te wszystkie przyczyny, jak na przykład między innemi: nie ujęcie władzy przez powstańców, reakcja pewnej warstwy narodu, dyplomacja, zdrady i t. p. są już skutkami innych przyczyn, a podawane przeciw nim środki zaradcze o tyleby skutkowały, co plastry przykładane na ciało którego organa żywotne są rażone chorobą wewnętrzną i wymagają tak zwanej *kuracji radykalnej*. Idzie nam dzisiaj nie o przyczyny podrzędne, które są już skutkami, ale o przyczynę najwyższą, o przyczynę przyczyn.

Dopiero ta przyczyna odkryta pokazuje nam istotę choroby, całe jej niebezpieczeństwo i zarazem podaje w sobie lekarstwo na nią. Zadanie to rozwiązuje się najłatwiej ze stanowiska które nazywam *chłopskim*, bo się sprwadza do tego najwyższego a najprostszego wyrażenia, że walka Polski z Rosją, jest przede wszystkim walką dwóch idei religijnych przeciwnych sobie: «katolicyzmu i schyzmy» katolicyzmu, ma się rozumieć, nie koszlawnego przez ludzi, ale jakim chce go mieć boski jego budowniczy, Chrystus, któryby był najczystszy objawem Jego Ducha, najwyższym stopniem chrześcijaństwa.

Cóż to jest ta Schyzma? Jest to duch który zaraz w pierwszych wiekach chrześcijaństwa wziął za narzędzie swojej polityki ziemskiej potęgę prawd niebieskich, zespolony później z duchem który okrzykiem: do Rzymu! do Rzymu! pędził hordy Hunnów, Mongołów i inne na Europę. Schyzmie dzisiaj chodzi nie o miasto; nie zburzenie lub opanowanie Rzymu jest jej celem; ciosy jej wymierzone są przeciw idei najwyższej a przeciwnej jej dziełu; tę ideę chce ona zabić a na jej miejscu siebie postawić. Pierwsza Polska znalazła się na jej drodze, w Polsce, w pierwszej powinien był objawić się katolicyzm w całej potęgę swojego ducha, — nie objawił się — Schyzma wygrała wielką bitwę. Mieliśmy katolicyzmy: doktrynerski, zakrystyjny, artystowski, salonowy, jezuicki, romansujący z niebem, itp. które

przeciw potędze schyzmy czynnej, żyjącej, stawily albo martwe formy, albo nawet wchodziły z nią w porozumienie, a nie wystąpiła do walki potęga jego istoty, — i żywa, czynna istota fałszu wzięła górę nad martwymi formami chociaż prawdy.

Tu jest źródło wszystkich błędów, win, zbrodni popełnionych w powstaniu 1830 roku bądź przez pojedyncze osoby, bądź przez stronnictwa. Tu leży główna przyczyna smutnego końca tego ruchu, pomimo bohaterstwa na polu walki, pomimo ofiar niezliczonych które naród złożył. Były ofiary wielkie, szczerze, nie było jeszcze ofiary pełnej, wytrzymałej, idącej z głębi ducha, poświęcającej ducha, a czego oliara ciała jest tylko następstwem podrzędnym.

Podnoszę tę prawdę, choć może nazbyt ogólnie, dla tego że ona jest kluczem upadku nie tylko powstania Listopadowego, ale wszystkich późniejszych.

Niezmiernie ważnym jest dziś jak dla narodu tak dla każdego z nas pojedynczo, wznieść się aż do tej przyczyny, i z tego stanowiska wejrzeć w siebie i w swoją polską robotę.

Zadanie dziś nasze : robota jaknajprędza, ale zarazem jaknajskuteczniejsza; dojście do Polski drogą jak najkrótszą, czyli jak najprostszą, a taką drogą nie może być nic innego tylko droga prawd Chrystusowych. Inne narody mogą sobie pozwolić wielomówstwa, ruchania się fałszywego, durzenia się robotami wątpli-

wych skutków; ale dla nas taka swawola jest zbrodnią. Nie ludźmy się. Jesteśmy między życiem a śmiercią jak żaden naród w chrześcijaństwie. Nie wiele mamy czasu do tracenia na rozprawianie, na próby doktryn, teorii, systematów, którym niema i nie będzie końca; spożyliśmy już dosyć szarlatańskich leków; nie dla nas kuracja na chybił — trafił. Każdy dziś Polak ma przed sobą wybór między dwoma kierunkami : jeden na życie, drugi na śmierć narodu, i pójdzie mu przed sądem Boga i przyszłości według tego co dla siebie obierze.

Nie jesteśmy narodem zwyczajnym, i żyjemy nie w czasie zwyczajnym. Ludzimy się jeżeli myślimy inaczej. Ludzimy się kiedy myślimy że jesteśmy jak każdy inny lud podbity, pracujący nad wyjarzmieniem się; że nam wystarczą środki, pomoce które innym wystarczają, które i nam wystarczały w dalszej przeszłości. Czas obecny jest nadzwyczajny, nie tylko dla nas jednych ale dla całej ludzkości. W naszym przeznaczeniu leży tylko aby na nas pierwszych objawiła się dotykalnie ta nadzwyczajność; abyśmy cierpieli pierwsi przez nieuznanie tej prawdy i pierwsi byli zbawieni przez jej uznanie, przez zastosowanie się do niej.

Już przed dwudziestu kilku laty, Adam Mickiewicz widział dziwne podobieństwo między wysileniami narodu naszego począwszy od konfederacji Barskiej aż do powstania 1830 r.

a walką ludu Żydowskiego pod Machabeuszami. — Jak jedne tak drugie były czyste, święte co do celu, pełne bohaterskich poświęceń się w wykonaniu, a mimo to bezskuteczne, bo w wyrokach bożych jak jednym tak drugim zamykała się ich przeszłość a otwierała się przyszłość wyższa; a zawady na drogach im znanych, ubitych, powinny były otwierać im oczy na nie dostateczność środków pospolitych, zwracać ich ducha na drogi nowe, gdzie ich czekają przygotowane siły nowe, większe, zdolne zmierzyć się ze złem które także postępuje i wzmacnia się w siłę większą. — Tak jest! Z powstaniem Listopadowym zamyka się koło wielowiekowego życia Polski przeszłej, a otwiera się koło Polski nowej. Idea, którą żył naród przez dziesięć wieków spożyta, przestaje być posilną, musi wzmocnić się nowym zasiłkiem, Myślą Bożą dla narodu, objawioną w większej pełni, w większej jasności, odpowiedniejszą gwałtowniejszym a wyższym potrzebom narodu. Z tą epoką otwarła się sfera ofiar trudniejszych, więcej wewnętrznych, ale zarazem schodzi i siła do pełnienia tych ofiar w jaśniejszym widzeniu celu i drogi człowieka. Cierpienia narodu w skutek upadku powstania Listopadowego były dopuszczone jedynie dla zwrócenia go w tym kierunku, a emigracji przeznaczeniem było skupić się w duchu, i rozpatrzyć się w przyszłości którą Bóg otwierał przed narodem i postawić krok stanowczy na jej drodze: emigracja ta, była to część na-

rodu powołana przez wyroki wyższe aby zaszczerpiła, że tak się wyrażę, przyszłość na przeszłości.

To nam wyjaśnia późniejsze dzieje nasze. Wszystkie odtąd wysilenia, wszystkie powstania musiały skończyć się jak się skończyły: strasznymi klęskami, coraz większym osłabieniem narodu, coraz większym wzrostem potęgemu przeciwnych, bo nie brały kierunku jaki Bóg zakreślał. A kiedy to mówię, mam do tego prawo, bo mówiłem to i nie sam wprzód nim zaszły te wydarzenia, i nie przestanę powtarzać, jakkolwiek głos mój może być słaby, że wszystkie środki, wysilenia, ruchy w służbie narodowej nie osiągną swego celu, póki nie będą poświęcone tą łaską Bożą która czeka tylko na chwilę naszej dobrej woli, aby nas uzbrajała siłą niepokonaną.

Na zakończenie niech mi wolno będzie odezwać się do was, starzy towarzysze niegdyś na polu walki z wrogiem, a potem aż do dnia dzisiejszego spółnicy niedoli tułaczey. O was myślałem głównie cofając się pamięcią do nocy 29go Listopada. O was głównie myślę, rozważając smutną obecność i unosząc się w przyszłość. Śmierć przerzedziła nasz zastęp, czas długiego tułania się między obcymi wytrawił siły nasze, a mimo to niezdięte z nas powołanie nasze; powinniśmy zostawić następnym pokoleniom drogę prawdziwą do Polski. Przetorowaliśmy drogę tułania się po za ojczyzną, przetorujmyż drogę powrotu do ojczyzny. Od

czterdziestu lat bijemy się po bezdrożach, w ślady za obcymi, za połyskiem ich kaganów; czas wrócić do naszej gwiazdy polskiej, pokazać się sobą samymi, wziąć drogę prostą polską, bo tylko ta jedna do Polski prowadzi — drogę jaką lud nasz wierzący trzyma — lud, rdzeń narodu. Oto już czterdzieści lat dochodzi jak krążemy po pustyni świata, podobni do Żydów wędrujących czterdzieści lat przez puszcze do ziemi obiecanej. — Żydzi po czterdziestu latach znaleźli wreszcie ojczyznę, a my? ... miałibyśmy jeszcze przed sobą siedemdziesiąt lat Babilońskiej niewoli? — od nas to zależy. Nie w naszej mocy los przyszłych pokoleń — każdemu z nich pójdzie według tego jak sobie zasłuży: nie w naszej mocy ta lub owa Polska — będzie ona taką jakimi będą Polacy — ale w naszej mocy wskazanie prawdziwego kierunku; na naszym sumieniu danie dobrego przykładu, przelanie naszymi czynami życia lub śmierci w przyszłość narodu. Przejmijmy się się głęboko tą myślą, że według tego jak pojmiemy i spełnimy nasze powołanie, spocznie na pamiętce naszej albo błogosławieństwo naszych następców albo ich zlorzeczenia — Co nie daj Boże!

KONIEC.

Paryż, drukarnia braci Rouge, Dunon i Fresné,
ulica du Four-Saint-Germain, 43.

